KAMENA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

31.X.1958

Nr 20 (162)

ROK XXV

CENA 2 ZŁ

Z teatrem we Lwowie

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

W dniach 17—26 października występował na scenie lubelskiego teatru im. J. Osterwy zespół lwowskiego Teatru Dramatycznego im. M. Zańkoweckiej, grając „Hamleta", dramat ludowy Staryckiego „Oj, nie chodź, Hryciu, na wieczornicę..." i współczesną komedię M. Zarudnego „Tęcza".

Dokładnie w tych samych dniach we Lwowie odbywały się występy zespołu naszego teatru w gmachu goszczących u nas artystów ukraińskich.

Trzeba by zacząć od komplementów, ale nie potrafię: chodzi przecie o przyjaźń, nie o czcze dusery. Tedy na początek uwaga krytyczna.

Otóż dawno zapowiadana nam wymiana świadczeń teatralnych stanowi oczywiście nader ważną i odpowiedzialną pozycję w naszej polityce kulturalnej, czemuż więc administracje dwóch teatrów zastosowały do ich występów pedantyczny synchronizm, dogodny prawdopodobnie ze względów gospodarczo-organizacyjnych, lecz nasuwający pewne zastrzeżenia, skoro się spojrzy na rzecz od strony artystycznej. Podsumowując pozytywy przedsięwzięcia, członkowie obydwu zespołów musieli jednak gorzko żałować, że wskutek szczelnego przylegania wymiennych pobytów — w czasie, nie mieli możności wymienić czegoś bardzo ważnego: swoich doświadczeń warsztatowych. A wystarczyłoby dwudniowe bodaj „rozsunięcie" terminów, aby artyści ukraińscy i polscy mogli obejrzeć nawzajem po jednym przedstawieniu każdej z trzech sztuk, z którymi wyjeżdżali do sąsiadów.

Stało się inaczej. W rezultacie tylko po powrocie do Lublina dowiadujemy się z trzeciej ręki, że goście „grali bardzo dobrze" i mieli duże powodzenie. Czy trzeba wyjaśniać, że ogólnikowe „bardzo dobrze" widza nie może wystarczyć koledze-aktorowi.

Sytuację ratowało oglądanie teatrów będących w tym czasie poza obrębem wymiany. W Lublinie artyści ukraińscy mieli do dyspozycji spektakle Teatru Muzycznego, we Lwowie „osterwiacy" korzystali z szerszego wachlarza widowisk, uczęszczając w wolne wieczory do Teatru Opery i Baletu im. Iw. Franki, do Rosyjskiego Dramatycznego Teatru Wojska, do ukraińskiego Teatru Młodego Widza.

Jako osoba nie grająca, zamieniłam prawie wszystkie moje wieczory w wieczory teatralne. Z nich trzy poświęciłam „premierom" lwowskim naszego teatru, chcąc zobaczyć, jak zaprezentują się koledzy na innym gruncie i jak będzie reagować na ich styl inna publiczność. Wrażenia naoczne oraz wypowiedzi przedstawicieli różnych środowisk przekonały mnie o tym, że największy sukces odniosła we Lwowie „Panna mężatka" (reżyseria Zofii Modrzewskiej, scenografia Jerzego Torończyka), zawdzięczając go nie tylko zręczności komediopisarskiej Korzeniowskiego, ale i harmonijnej kompozycji realistycznej przedstawienia. „Maria Stuart" Słowackiego w koncepcji scenicznej Jerzego Uklei (reżyseria i scenografia) podobała się szczególnie od strony wizualnej. „Klątwa" zaś nieoczekiwanie mniej „chwyciła", choć my sami uważamy ją za bardzo dobrze zrobioną (reżyser Jan Świderski, scenograf Janusz Warpechowski). Do zrozumienia koncepcji inscenizacyjnej wszakże znalazł klucz recenzent „Wilnej Ukrainy", przytaczający w wolnym przekładzie zamieszczony w naszym programie aforyzm margrabiny Du Deffand: „Fanatyzm, we wszystkich swoich postaciach, każe ludziom mówić wiele rzeczy absurdalnych, jeśli nawet nie popycha ich do zbrodni".

Słuchając różnych wypowiedzi komunikujących się z nami widzów, można było wywnioskować, że specjalnie zainteresowały się lwowskie sfery artystyczne nowymi drogami naszej scenografii, dla której — poza drobnymi wątpliwościami — nie szczędzono słów uznania. Natomiast próba zróżnicowania indywidualnych sukcesów poszczególnych naszych aktorów byłaby niewątpliwie z mojej strony lekkomyślnym ryzykiem, tak z uwagi na kurtuazyjnie wyrównany ton lwowskich wypowiedzi, jak i ze względu na uprzejmość, jaka mnie obowiązuje w stosunku do kolegów z teatru, w którym jestem kierownikiem literackim.

Jeśli chodzi o spektakle teatrów lwowskich, to najbardziej przypadły mi do gustu widowiska baletowe. Widziałam trzy: balet Ludomira Różyckiego „Pan Twardowski", poemat choreograficzny Asafjewa „Fontanna Bakczysaraju" (libretto M. Wołkowa według Puszkina) i balet L. Minkusa „Bajadera" (libretto znakomitego baletmistrza Mariusa Petipas). W recenzji z lwowskiego przedstawienia „Pana Twardowskiego", o którą prosiła mnie redakcja „Wilnej Ukrainy", zwróciłam specjalną uwagę na inwencję, z jaką reżyser widowiska, zasł. art. USRR M. Triegubow wprowadził nowoczesne środki wyrazu do techniki choreograficznej baletu opartego na zasadach klasycznych. Występuje ten rys wyraźnie chociażby w duecie Twardowskiego i Królowej Podziemia, która znalazła bardzo dobrą interpretatorkę w L. Kowcz (wybierającej się właśnie na gościnne występy do Polski). We wspomnianym duecie tanecznym artyści, posługujący się z wirtuozerią techniką klasyczną, odchodzą zarazem od staroświeckich „zaokrągleń" do jakiejś z gruntu nowoczesnej ostrości, powiedziałabym — do bardzo wymownej „kanciastości" niektórych połączeń, dającej w wyniku mocny akcent dramatyczny.

Warto zaznaczyć, że „Pan Twardowski", którego prapremiera odbyła się na scenie warszawskiej w r. 1921, w Związku Radzieckim wszedł po raz pierwszy do repertuaru lwowskiego Teatru Opery i Baletu im. Iw. Franki. Przypomnijmy sobie, iż Różycki i przed tym już był związany ze Lwowem, gdzie pracował w latach 1909—1912 jako dyrygent operowy i profesor Konserwatorium. Balet „Pan Twardowski" jest baletem polskim nie tylko z libretta, ale i dzięki wykorzystaniu polskiego folkloru muzycznego. Ten polski żywioł ludowy znalazł wierne odbicie w interpretacji lwowskiego reżysera i choreografa. Teatr Opery i Baletu im. Iw. Franki rozporządza zdyscyplinowanym artystycznie kordebaletem i szeregiem wybitnych solistów, takich jak zasłużona artystka USRR N. Słobodian — wykazująca się świetnym *port de bras*, — H. Raińska — nienaganne „pointowanie" w połączeniu z celną charakterystyką postaci (Pani Twardowska), wymieniona już L. Kowcz, która posiada, rzec by można, stalową prężność i precyzję najdrobniejszego szczegółu wykonania, albo M. Biełowa, podbijająca widza subtelnym liryzmem. Zapisał mi się też w pamięci artyzm zasł. art. USRR O. Pospiełowa, jego zamaszysty ruch i gest (Pan Twardowski), jego wręcz akrobatyczna elastyczność w postaci sługusa tatarskiego („Fontanna Bakczysaraju"), a zasł. art. USRR O. Staliński, który niedawno obchodził 25-lecie pracy baletowej, zwraca na siebie uwagę nieprzeciętną ekspresją dramatyczną (widziałam go w roli Króla Zygmunta i Chana Gireja).

Kostiumy wszystkich trzech baletów — stylowe i ładne. Co się tyczy dekoracji, to, zrobione starannie, utrzymane są one w XIX-wiecznej konwencji operowo-baletowej, która znajduje jeszcze poklask w szerokich masach na całym świecie. Nawiasem mówiąc, kilka lat temu znakomity balet angielski Sadler Wells przywiózł do Warszawy płótna z namalowanymi na nich meblami, wywołując tym — m.in. — zachwyt snobów, jako specjalnym „smaczkiem" i „nowością".

Opera lwowska, według opinii miejscowych — nie osiągnęła poziomu tamtejszego baletu. O słuszności tej oceny przekonałam się na przedstawieniu „Borysa Godunowa", jednego z moich ulubionych utworów muzycznych. Zastrzeżenia budziło zarówno tempo, jak i rozłożenie akcentów w wykonaniu orkiestry, co odbijało się oczywiście ujemnie na interpretacji wokalnej, pozbawiając ją ciętości właściwej dziełu wielkiego nowatora Musorgskiego.

W Rosyjskim Teatrze Dramatycznym było różnie. Jest to teatr Wojska, teatr nie upaństwowiony. Widziałam tam „Niebezpieczny zawód" W. Sołowjowa i „Pigmaliona". Pierwsza rzecz, sztuka sensacyjna, udała się teatrowi lepiej, natomiast w drugiej klimat shawowski nie został oddany. Siły aktorskie, zwłaszcza w „Pigmalionie" nierówne. Kobiety górą! Bardzo mi się podobały aktorki Tarasowa, Diechtiariowa, Czeżegowa.

Raczej zespołowe zasady pracy z dobrym rezultatem stosuje kolektyw ukraińskiego Teatru im. Gorkiego. Widz tam młody i zespół — również młody — szuka nowych środków wyrazu, co zaciekawia nawet w słabiutkiej sztuce M. Sobola „Towarzysze romantycy".

Jeśli wieczory moje stały się — jak się rzekło — teatralne, to poranki były „muzealne". A więc w filii Centralnego Muzeum W. I. Lenina oglądaliśmy bardzo ciekawą dokumentację, której warto by poświęcić znacznie więcej czasu, niż mogliśmy to uczynić w ramach krótkiego pobytu we Lwowie. Specjalnie duże wrażenie sprawiła na mnie dokumentarna krótkometrażówka z życia Lenina. Widzieliśmy także bogate ekspozycje Muzeum Sztuki Ukraińskiej: ceramikę ludową, hafty, ikony, rzeźby — i cenne kolekcje malarstwa europejskiego w Galerii Obrazów, gdzie w dobrze prezentującym się dziale polskim można oglądać m.in. Rodakowskiego „Portret córki artysty" i Kotsisa „Matula umarli" — obrazy, o których w naszych monografiach podano mylnie, jakoby zaginęły.

Indywidualnie odwiedziłam nadto Lwowski Dom Naukowców. „Sektor dziecięcy" tego Domu liczy 510 dzieci od lat 5 do 14. Trafiłam w charakterze obserwatora na żywo prowadzoną lekcję angielskiego, nie ominęłam działu robót ręcznych, ale najbardziej zafrapowały mnie ćwiczenia młodszej grupy studium baletowego: maleństwa w wieku od 5 lat do 7, chłopcy i dziewczynki, uczęszczające na lekcje niespełna dwa miesiące, wykazywały się daleko już posuniętym przyswojeniem elementarnych zasad baletu klasycznego. Był to naprawdę widok rozczulający. P. A. Jegurnowej, prof. Konserwatorium lwowskiego, należą się słowa uznania za poświęcenie, z jakim prowadzi to studium baletowe.

Miałam w moim życiu okres, kiedy uprawiałam trudny zawód nauczycielki, toteż jestem pełna głębokiego szacunku dla zbożnej pracy pedagogów szkoły nr 24, jednej ze szkół polskich, gdzie koledzy — aktorzy Teatru Osterwy dali dwa koncerty, przyjęte z entuzjazmem. Kwiatki, jakie otrzymali, leżały u stóp pomnika Mickiewicza.

Odrywając się na krótki czas od spraw teatralnych i muzeów, odwiedziłam redakcję miesięcznika kulturalno-społecznego „Żowteń", której wysyłamy w drodze wymiany naszą „Kamenę". Zajrzałam również do Związku Literatów. Miałam tam interesującą rozmowę z Prezesem Oddziału, znanym pisarzem P. Kozłaniukiem — na temat opieki nad młodzieżą literacką (u nich — opieki bardzo efektywnej).

Jako jeden z jaskrawych wyrazów okazywanej nam uprzejmości przytoczę fakt, że specjalnie dla 2 osób — dla reż. Modrzewskiej i dla mnie — sprowadzono i wyświetlono film, który nas interesował: „Oleko Dundicz", świetny film radziecko-jugosłowiański z początków Rewolucji Październikowej (okres interwencji).

Uprzejmością, szczerością, kulturą utrwala się przyjaźń między narodami.

MELODIA KLĘSKI

STANISŁAW JAN ROSTWOROWSKI

Ligocki jest w dziwny sposób uzdolnionym artystą. W pisarstwie swym nie wydobywa nuty poezji z jakiegoś bezpośredniego, intymnego oglądu rzeczywistości, drama u niego nie rodzi się z jakiegoś psychologicznego rozpoznania lub z tragicznego załamania ciążących swym trwaniem spraw, ale pisarz ten wydobywa ton poezji z konkretnego splotu faktów o wymowie historycznej czy nawet politycznej. Słowo literackie Ligockiego snuje się wokół ludzi umieszczonych w konkretnym kontekście historycznym, ludzi nacechowanych przez swe związki z klasą społeczną, narodem, przez swą służbę dla idei patriotyzmu. Ligocki uwidacznia tragedię swych bohaterów w puncie, gdzie zbiegają się ich losy i dążenia z łamiącymi na ogół faktami i znamionami historycznymi. Dlatego też książki jego w swej wymowie problemowej, dotyczącej spraw ważkich, są cenne, silne, wzruszające nieraz, równocześnie w szczegółach, w sferze podmiotu odczuwającego są często niedopracowane. Uczucia, które przeżywali ludzie przemijającego już właściwie pokolenia nad lekturą „Sambry i Mozy", nie wiadomo czy w równej mierze udzieliłyby się współczesnemu czytelnikowi. Trwałość pisarstwa Ligockiego z czasem będzie przemijająca. Również i jego nowa książka „Drogi bezdomnych" *) ukazała się już właściwie trochę za późno. Pozornie czytelnik interesuje się dziś książkami opisującymi historię minionych walk narodowych. Ale szuka w nich gryzącego smaku bohaterstwa, druzgocącej prawdy o śmierci, szuka w nich — powiedziałbym nawet — sensacji. Tego jednak nie dostarczy książka Ligockiego. Jest ona zbyt poważnie historyczna. Przypomina już sprawy i ludzi, o których dzisiejszy czytelnik raczej niewiele słyszał, porusza problemy, które vice versa parę lat po wojnie na pewno by jeszcze ogromnie pasjonowały.

Ale wszystko to nie ujmuje bynajmniej wartości wspomnianej książce. A o wartościach tych można mówić spokojnie, wydaje się bowiem, że jest to jedna z nielicznych powieści, która w tak rozsądny sposób rozpoznaje motywację historyczną i indywidualnoludzką leżącą u podstaw wrześniowej klęski Polski i majowego upadku Francji. „Drogi bezdomnych" przedstawiają ponadto przemilczany na ogół fragment dziejów polskiej działalności wojskowej poza krajem, podejmowanej na ziemi francuskiej w latach 1939/40. Opis tych wydarzeń przedstawiony jest na tle całego szeregu ciekawych relacji naświetlających układ sił politycznych w momencie wybuchu drugiej wojny światowej. Dwa pierwsze rozdziały, w których akcja rozgrywa się jeszcze przed wypadkami wrześniowymi, są poświęcone samej koncepcji klęski. Oto w mieszkaniach prywatnych i gabinetach polskiej ambasady w Paryżu toczą się wieczorne Polaków rozmowy. Spierają się między sobą zwolennicy sanacji ze swymi przeciwnikami. Z jednej strony padają wielkie słowa o odwadze i honorze polskiego żołnierza, o mocarstwowości Polski, z drugiej wymieniane są fakty mówiące o kompletnym braku przygotowania kraju do wojny. Ale, jak łatwo jest odczytać z kart książki Ligockiego, w mentalności jednych i drugich Polaków tkwi przeświadczenie o nieuniknionej przegranej. Tymczasem do Warszawy nie można się już dodzwonić. Nad granicami Polski zamykają się już potężne ramiona faszyzmu niemieckiego, który przez osobę Petaina rzuca cień na Francję, kanałami swymi obejmuje Hiszpanię i Włochy, a mackami sięga po Bałkany. Aspiracje faszystowskie kojarzą się z wielką ideą chrześcijańskiej krucjaty na Wschód, co miałaby przywrócić katolicyzm ateistycznej Rosji. Za chwilę zaciśnie się już pętla nad głową osamotnionej Polski, która jedna nie zechciała zezwolić na odebranie sobie Gdańska Takim to właśnie akordem, przypominającym osamotnienie, w jakim znalazł się nasz kraj w momencie wybuchu wojny światowej. — zaczyna się książka Ligockiego. A potem już snują się drogi bezdomnych....

W trzeciej części książki skrzętnie notowane są wspomnienia o wszystkich tych, którzy albo byli już we Francji, albo też przybyli tam po kapitulacji Warszawy, aby wspólnie organizować polskie wojsko na obczyźnie. O prawdziwości, a zatem i historycznej wartości poszczególnych relacji, mogłem się przekonać na przykładzie ogromnie wiernego opisu wędrówki mojego ojca, pułkownika Stanisława Rostworowskiego, który po kapitulacji Warszawy przedarł się do Francji. Za przypomnienie pamięci tego żołnierza autorowi jestem szczególnie wdzięczny. Ligocki zamieszcza również kilka doskonałych szkiców poświęconych sylwetkom Sikorskiego, a szczególnie Paderewskiego. Padają tu słowa piękne, wolne od jakiejkolwiek stronniczości, słowa, które godnie strzegą pamięci wielkich, nie żyjących już Polaków.

W dalszych partiach powieści autor bacznie śledzi wszelkie przejawy patriotyzmu, który spontanicznie organizował masy wychodźcze na obczyźnie do walki o wolność Polski. Na kartach książki toczy się wewnętrzny spór pomiędzy kinetyczną siłą patriotyzmu polskiego a bezwładnym oporem oportunizmu francuskiego. W starciu pomiędzy tymi dwoma siłami: patriotyzmem narodowym i obojętnością obcej ziemi rodzi się zasadniczy konflikt powieści Ligockiego. Konfliktu tego nie tworzą bowiem szkicowe i niedokończone wątki miłosne i sensacyjne osnute wokół naczelnej postaci kapitana Beliny. W powieści Ligockiego motyw czysto indywidualny niknie w zestawieniu z problemem historiozoficznym. Można powiedzieć, że „Drogi bezdomnych" stawiają przed nami zasadniczy problem — czy warto być żołnierzem patriotą na obczyźnie.

Doskonały znawca stosunków francuskich, jakim jest Ligocki, przez wprowadzenie kilku mistrzowskich scenek zbiorowych, przez zacytowanie kilku rozmów toczonych w mieszkaniach i sklepach francuskich, naświetla nam psychikę obywatela francuskiego z lat 1939/40... Obywatela, który w obawie przed zniszczeniem swojego sklepiku, symbolu własności prywatnej, wolał ojczyznę poddać Niemcom, niż walczyć o jej wolność. W świetle tego nastawienia dalszy tok wydarzeń, naszkicowanych w końcowej części książki, jest już zrozumiały. Słaby opór wojsk francuskich i drugie ogniwo klęski. A potem rozbite oddziały polskie oczekują na wybrzeżu Kanału La Manche na przewiezienie do Anglii. Można powiedzieć, że głównym celem autora było przedstawienie psychologicznego mechanizmu klęski.Klęski uzasadnionej w jednym punkcie przez patriotyczny idealizm Polaków, a w drugim ogniwie przez oportunistyczny realizm Francuzów. Ale czytając „Drogi bezdomnych" doskonale wyczuwamy, że autor kocha ten polski patriotyzm i tę obczyznę francuską, która ma tyle cech drugiej ojczyzny Polaków. I właśnie z tego rozdarcia pomiędzy umiłowaniem wszystkich wartości polskich i francuskich a świadomością prawdziwej wymowy faktów rodzi się cała poezja powieści Ligockiego. Poezja ta dominuje w stylu, w opisach przyrody, w każdym wspomnieniu o którymś z Polaków czy Francuzów, a nawet Żydów, którzy w momencie strasznego kataklizmu umieli się zdobyć na jakiś czyn, co w efekcie zmuszał ich do obrania jednej z dróg ludzi bezdomnych. Widmo mechanizmu klęski zostaje zabarwione czysto indywidualną uczuciowością autora i to nanadaje całej książce jakiś szczególnie melodyjny ton żalu. Na ostatnich kartach swego utworu Ligocki pyta, dlaczego tak było — dlaczego Dwernicki ostatni osłaniał odwrót wojsk napoleońskich spod Waterloo, dlaczego w 1940 roku polskie dywizje biły się jeszcze trzy dni po ogłoszeniu kapitulacji Francji przez Petaina. Dlaczego owo historyczne hasło „Aux armes, citoyens! Formez vos bataillons..." znów okazało się takie bezsilne. Stary, narodowy sentyment do Francji nie pozwala jednak Ligockiemu udzielić na to pytanie pełnej odpowiedzi.

*) Edward Ligocki: Drogi bezdomnych, Francja 1939—1940, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958.

ARNOLD SŁUCKI

* * *

Goździk
naświetlany promieniami Gamma
traci barwę,
kurczę w jaju
porasta piórami jastrzębia.

A człowiek?
Człowiek?

...w kobaltowej koronie
wisi,
podwinął całun z aluminium —
baszty kościołów jak ostre Parkery
dziobią plansz gasnący błękit,
pękają słońca,
płaczą orkiestr zachmurzone nikle.

O ziemię cień swój łamie bezręki —
Nike.

WĘDROWCY CZASU

CZESŁAW JANCZARSKI

„Wędrowcy czasu" *) to trzeci, kolejny tom wierszy Bogdana Ostromęckiego. Trzeci krok na poetyckiej drodze, mocniejszy od dwóch poprzednich, ale i ostrożniejszy. Jest to tylko pozorny paradoks: siłą poety jest opanowanie rzemiosła, ostrożność dostrzegam w doborze tematyki.

Pozornie struktura wierszy w nowej publikacji Ostromęckiego nie uległa zmianie. Obraz jednak dzięki lepszej celności środków poetyckich zyskał na przejrzystości i dynamice.

Pisać nie po to, by okłamywać się
pisaniem,
być echem słów, być zdarzeń
powtarzaniem.

ale dlatego, żeby utrwalić błysk,
tak krótki nieraz,
że czasu nie dość między myślą a
dotknięciem pióra —
błysk, w którym się jasny, szczęśliwy
ból otwiera.

Ten urywek ze wstępnego wiersza jest jak gdyby zapowiedzią: czego czytelnik może oczekiwać przy lekturze tomiku. Jest w tej książce sporo „utrwalonych błysków" o ciekawej, głęboko sięgającej w sprawy ludzkie tematyce. Nie buja tu poeta w obłokach, nie mistyfikuje, nie podwyższa się koturnem. Mówi tylko o tym, co zdarzyło mu się przeżyć, przemyśleć rzetelnie.

Poeta pragnie zrozumieć swój czas, niepokoi go on („Inaczej", „Praegzystencje"), niekiedy cieszy się, że żyje w wieku dwudziestym („Fotoplastikon warszawski"), czasem lekko ironizuje („Szopka"), zastanawia się nad powołaniem swej sztuki („Czytałem wiersz").

Wierszom tym, utrwalonym przez poetę błyskom, towarzyszy jakaś nieuchwytna nuta melancholii. Wywołują ją i zestawienia barw, przeważnie jesiennych, i światło, przeważnie wieczorne, przymglone. Towarzyszy im, jak gdyby gest pożegnania rzeczy nieosiągniętych i niedokończonych, gest pożegnania spóźnionego turysty. („spóźnionym turystą" nazywa siebie poeta w wierszu „Tranchée des bajonetts").

Gwieździe, co cicho przede mną
płynie,

piękna niezmiennie —

zostawię kiedyś wiersz
niedokończony,

gdy noc się skończy beze mnie.

Cykl wierszy „francuskich", to impresje z dziennika podróży do Francji. Poeta odwiedził Paryż, Verdun, Nantes, Pornic — miasteczko, w którym mieszkał Słowacki, był na grobie Van Gogha. Spostrzeżenia swoje i wzruszenia oddał w ciekawej i pięknej relacji lirycznej. Ma ona wartość szkiców, pełnych nastroju, o celnej linii.

W sumie: poeta dotrzymał zapowiedzianej w wierszu wstępnym obietnicy. Nie czarował pawim ogonem liryki. Wrażliwy na poezję czytelnik powinien sięgnąć po tom Bogdana Ostromęckiego.

*) Bogdan Ostromęcki. Wędrowcy czasu. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958, Stron 60.

Szlak współczesnego Ikara

ANDRZEJ SZMIDT

Postawa Sity *) wobec świata ma w sobie coś z oswojonego tragizmu. „Odmierz różnicę czasu między mną i Ikarem... abym w dzień zmartwychwstania znalazł drogę do nieba". Tak może pisać tylko ten, kto już przed lotem szykuje się do klęski i tylko próbuje wierzyć, że świadomość tego faktu znieczuli bolesność upadku. Tezę tę potwierdza zresztą aż uderzające ograniczenie przekazywanego kręgu rzeczywistości. Więc koncepcja skondensowanej, ale jednocześnie miękkiej, prawie patologicznej grozy. Piekło obiektywizmu i codzienności życia, które zawczasu trzeba odrzeć z wszelkich złudzeń. Dlatego (pisze autor) miłosierdziem jest dać dziecku topór zamiast osłaniającej ręki matki. A tak łatwiej mu będzie znieść późniejsze etapy życia — ból przemijania, szarpiący się o bruk ulicy krok lat dojrzałych, wreszcie bezradnie opuszczone ramiona starości. A ponieważ ludzie i tak mają „serca ubogie", obowiązkiem więc jest powiedzenie im jeszcze wprost, że „za karminową bramą" znajduje się jedynie „chiński cień na ekranie nudy" („Brama"). A to, że prowadzi ona jednocześnie w wieczność jest tylko potwierdzeniem nieomylności rachunku. Nieomylność tę potwierdza również jakaś prawidłowość i stabilizacja świata. Układa się on przecież także i wzdłuż jasnych barw. Świadczy o tym możliwość (przynajmniej poetyckiego) osądzania zbrodniarzy („Człowiek o siedmiu twarzach") oraz prawo do ocalania chwili, „spokoju stygnącego popiołu", no i miłości. Ta ostatnia wprawdzie nie zawsze jest najweselsza, ale bądź co bądź zawiera w sobie niekłamany urok zmysłów, a czasem nawet zadziwiające piękno oczu ukochanej („Madrygał dla zakochanych"). A wtedy już zupełnie serio można choć przez sekundę odetchnąć całą beztroską młodości.

To jedna linia tej poezji. Wyważona i zamierzona. Istnieje jednak i druga. Spontaniczna i odruchowa, wyzwalająca się wbrew i mimo wszystko. Jest ona wprawdzie miejscami trochę tradycyjna ze swoją „jesienią", „nocnym ptakiem" pragnącym „wyfrunąć na spotkanie świtu" i refleksją, że za wcześnie na ten odmierzony świat, „gdy płaczą balleriny i drogi zachodzą dalą". Ale niezbyt groźnie. Prawdziwość wzruszenia jakoś tuszuje cień sentymentalnej łezki.

Nie można jednak zupełnie oszukać swojego czasu. Dlatego w mentalności współczesnego Ikara wyrwanie się z rzeczywistości wymierzonej kończy się spleenem, niepokojem, gestem bezradności.

Niewiele więcej można zawrzeć między „oczami muru" a „kokonem gwiazd". Najwyżej barok metafory przemieszany starannie dla większej wiarygodności obrazu ze spokojną codziennością wypowiedzi w sam raz oddającą smutną prawdziwość „upranej kokardy" zbyt młodej matki. („Poemat patologiczny").

Głos zawodzi poetę raczej rzadko. Zupełnie abstrakcyjne i niecelne są „żółte łabędzie wygięte w łuk jak latarnia". To potknięcie jednak prawie nie razi w debiucie młodego poety, który zbiorkowi swemu dał nazwę groteskowo uśmiechniętego płaczu za...

** Jerzy S. Sito, Wiozę swój czas na osie, Warszawa 1958, Czytelnik, s. 58 + 2 nlb., cena 10 zł.*

WIESŁAW KOSZELA

Cykuta

Ty byłeś najmądrzejszy Sokratesie
wiedziałeś
że cała filozofia to tylko kilka kropel
na dnie kielicha

A może nie wiedziałeś?

To było coś więcej niż kielich
na Golgocie
to była ofiara człowieka
a tamten przecież był tylko bogiem

tyś mógł swój kielich odwrócić
on nie mógł

tamto była tylko ofiara boska
a ty byłeś człowiekiem

Mój LUBLIN

TIBOR CSORBA

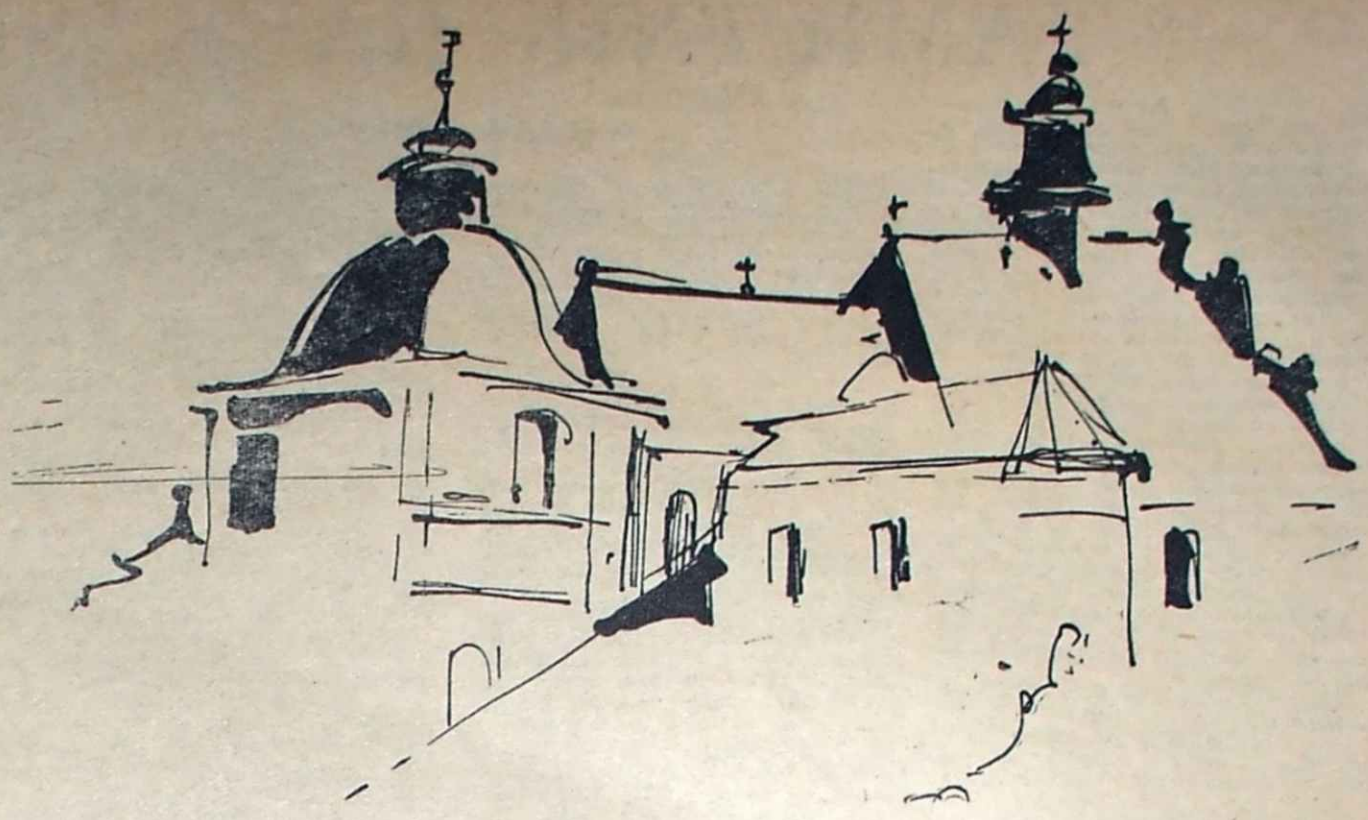

Gdy wywołuję film wspomnień związanych z Lublinem*), rysuje mi się obraz z lat dziesiątych naszego stulecia. Lublin leżał wówczas na szlaku Warszawa-Lwów i to decydowało o profilu tak mozolnego ale bujnego jego życia. Starsi jak zwykle: pracowali, zajmowali się akcją społeczną, a w wolnych chwilach grywali w szachy czy w preferansa, jeździli na polowania i chodzili na śledzika do Radzymińskiego. Młodzi, którzy są zawsze najważniejsi, mogli się w tym mieście „rządzić" jak mało gdzie na świecie. Nie brakowało im pierwszorzędnych koncertów, Towarzystwo Muzyczne z dyrektorem Januszem Mikettą dbało o umuzykalnienie mieszkańców, a pierwszych słuchaczy dostarczał Prezes spośród członków własnej rodziny. Teatr stały oraz przyjeżdżający na gościnne występy (z Solskim, Wysocką) — ściągał miłośników sceny nie tylko z miasta ale i z pobliskich ooklic. Sztuki piękne były niestety upośledzone, przez długi czas na wystawy jeździło się do Krakowa, Warszawy czy Lwowa, gdyż z braku sali nie urządzało ich się w ogóle. Życie intelektualne, toczące się w szkołach w sposób tradycyjny, młodzieży nie wystarczało. Nie godziła się z zastanym dziedzictwem, tworzyła własne organizacje — harcerstwo, koła samokształceniowe i w gorących dyskusjach zbawiała kraj i świat. Sławna Biblioteka im. Łopacińskiego dostarczała zawsze materiału, aby ten pokarm nie był oderwany i miał podkład historyczny. Ta młodzież wydawała nawet własne pismo: dumną „Przyszłość".

Spacery po Krakowskim Przedmieściu, Saskim Ogrodzie, a nawet romantycznym cmentarzu czy uroczym choć tylko w nocy dostępnym Starym Mieście, nie wystarczały, trzeba było rozszerzyć teren do Sławinka, Dębnika, Puław lub Nałęczowa, do Kazimierza nad Wisłą, ażeby użyć piękna przyrody i móc się do woli nagadać. Żeby zrobić przyjemność rodzicom, czasem chodziło się z nimi na ciastka do Semadeniego czy Rutkowskiego, ale nie należało do dobrego tonu wysiadywanie po cukierniach, kiedy jest tyle do zrobienia i należy się śpieszyć.

Szczególnie postępowa i światoburcza była młodzież żeńska z tzw. Handlówki a męska ze Szkoły Lubelskiej oraz im. Staszica. Szkół było wiele i były one z pewnością bardzo dobre. Józef Kunicki wraz ze swoją siostrą i całym gronem pedagogicznym (Zagrobski i Zagrobska, Alodia Popławska, Romana Zapasiewicz, Kazimierz Pieradzki) stanowili pewnego rodzaju „czołówkę postępową" w wychowaniu młodzieży. Wychowankowie szkół ówczesnych wcześnie rozsadzali mury starego grodu, w którym było im za ciasno. Co się działo w młodych główkach, trudno dziś przedstawiać. Znana nam pisarka Ewa Zarembina po maturze uczyła w szkole podstawowej i na lekcje chodziła demonstracyjnie boso, żeby się upodobnić do swoich najbiedniejszych uczniów.

Harcerstwo wyrobiło sobie popularność nie tylko na własnym terenie, ale promieniowało daleko w sąsiednie okolice. Do tej organizacji nie było łatwo się dostać. Należało być godnym tego zaszczytu. „Na czym polega tragizm Makbeta?" — pytano najpierw Romki, która do dziś wspomina inkwizycję, przez którą musiała przejść, zanim została „druhną".

Historię organizacji samokształceniowych powinien by jeszcze ktoś napisać, choćby i z tego względu, że wydały one wiele wybitnych jednostek, jak: Czesław Bobrowski, Józef Chałasiński, Józef Czechowicz, Wacław Gralewski, Zygmunt Kunczyński, Franciszek Modrzewski i wielu innych, którzy zdążyli już zapisać się w życiu kulturalnym kraju czy Lublina.

Latem w pięknym sadzie na końcu ulicy Ogrodowej, w altance przerobionej z poariańskiej kaplicy, zbierała się młodzież i w czasie wolnym snuła plany dalekich podróży i śmiałych projektów. Zimową porą gromadka ta zbierała się na Narutowicza, Szopena czy Kołłątaja. Tam powstawały decyzje studiów w Poznaniu i dalszych wypraw w świat. Z „paczki lubelskiej", zamiłowanej w historii szczególnie wyrosła „paczka poznańska", dla której socjologia była królową nauk, potem „paczka amerykańska" zajmująca się opieką społeczną, a wreszcie „węgierska", opracowująca stosunki kulturalne między krajami bogacąc tym humanizm. Pionierami w tych „paczkach" byli młodzi z rodzin: Dąbrowskich, Kobusiewiczów, Kruszewskich, Millerów, Naramowskich, Pleszczyńskich, Pliszczyńskich, Raczkowskich, Skibińskich, Wośkowskich, Witkowskich albo Chajnów, Zeidenmanów i wielu, wielu innych.

Niektórzy marzyli nawet o egzotycznych Indiach, ale kiedy stało się rze-

(Dokończenie na str. 4)

*) Rzecz wygłoszona przez autora na otwarciu jego wystawy malarskiej w Lublinie.

OSTATNIE DNI EPOPEI

ALEKSANDER DUMAS

Tłumaczyła: Anna Tatarkiewiczowa

...Z początkiem 1814 roku dowiedzieliśmy się nagle, że stopa nieprzyjacielska stanęła na ziemi ojczystej.

W tym czasie nikt już nie wierzył w geniusz Napoleona. Geniuszem tego wielkiego awanturnika była jego fortuna. Otóż Bóstwo jego przeznaczeń zapragnęło jego upadku i opuściło go.

Działa, których jeszcze nie słyszeliśmy, zbliżały się do nas z każdą chwilą.

Pewnego dnia ujrzeliśmy żandarmów, uciekających co koń wyskoczy: Soissons było w ręku nieprzyjaciela; uciekinierzy pozeskakiwali na złamanie karku z szańców; sześciu czy siedmiu zabiło się lub ciężko potłukło; trzech czy czterech uszło z życiem.

Teraz matka moja wystraszyła się na dobre.

Przejawem tego strachu było wstawienie na kuchnię ogromnej porcji gulaszu z baraniny.

Jakim sposobem gulasz może być przejawem strachu?

Mieliśmy straszne pojęcie o owych Kozakach znad Donu, Wołgi, Dniepru; po wsiach rozpowszechniano gorliwie obrazki, przedstawiające ich w postaci okropniejszej jeszcze, niż było naprawdę; widnieli tam na przeraźliwych szkapach, w czapach futrzanych, zbrojni w piki, w łuki, w strzały. Istne straszydła!

Mimo tych groźnych malowideł, poniektórzy optymiści twierdzili, że Kozacy to w gruncie rzeczy przyzwoici ludzie, wcale nie tacy straszni, jak na to wyglądają, i że byleby im dać dobrze zjeść i popić, muchy nie skrzywdzą.

Stąd to ogromna porcja gulaszu baraniego, przygotowana przez matkę. To miało być do jedzenia.

Jeśli chodzi o picie, wpuści się ich już nie do piwniczki, ale wręcz do piwnicy; niechże sami dają sobie radę z winem soissońskim.

A gdyby ostatecznie mimo gulaszu i wina soissońskiego okazali się tak czarni, jak ich malują, trzeba będzie uciekać do kamieniołomu.

Powiedzmy, co to takiego był ten kamieniołom.

Pięćset czy sześćset kroków od fermy la Noue, w pośrodku równiny, usianej karłowatymi jałowcami, gdzie skałki sterczą z ziemi, jak kości przez skórę suchotnika, otwiera się nagle głęboka pieczara, podobna do spotykanych co krok w kampanii rzymskiej.

Jest to wchód do kamieniołomu.

Jakiego kamieniołomu?

Kamieniołomu jako takiego, ludność okoliczna poprzestaje bowiem na nazwaniu go kamieniołomem, podobnie jak Rzym nazywano Miastem — Urbs.

Do tego to kamieniołomu schroniła się połowa wystraszonego Villers-Cotterets.

Tutaj to na granitowym klepisku, pod granitowym sklepieniem, podtrzymywanym granitowymi słupami, o kwadrans drogi od wejścia, na sto do stu pięćdziesięciu stóp pod powierzchnią ziemi, rozłożyło się ogromne obozowisko, jakby mała wioska, zamieszkana przez pięćset czy sześćset osób.

Matka moja, jako jedna z pierwszych, wybrała sobie miejsce, oznaczyła je, zastrzegła. Zaniesiono tam materace, kołdry, stół, książki do czytania.

Przed tą ostatecznością matka chciała wyczerpać wszelkie możliwe środki pojednania; jednym z tych środków, który wydawał się jej najskuteczniejszy, miał być gulasz barani i wino soissońskie.

Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Po trzech dniach czekania — na ogniu i w piwnicy — gulasz został zjedzony, a wino wypite — przez Francuzów.

Smakołyki przypadły w udziale korpusowi marszałka Mortier, który z resztkami młodej gwardii i tuzinem dział miał bronić przejścia przez lasy.

Radość nasza była niemała. Jakże miło było widzieć miast oczekiwanych straszliwych Kozaków tę piękną młodzież, pełną otuchy i męstwa.

Młodość ma jeszcze związki z Bogiem, dzięki czemu nigdy nie traci nadziei.

Nie mieli jej już starzy generałowie, a zwłaszcza książę Treviso.

Villers-Cotterets było jednym z postoi, na których książę Treviso upadał ze znużenia. Rankiem widzieliśmy go, jak pod przewodnictwem pana Deviolaine jechał konno na rekonesans lasu.

Ogromny mężczyzna sunął zgarbiony w siodle; rzekłbyś, iż w takiej chwili starczyło dziecka, by powalić tego niezwyciężonego.

O północy zbudziła nas strzelanina. Walka toczyła się w ogrodzie. Marszałek nie zadbał o straże; wróg zagarnął jego park artyleryjski; sam książę Treviso na wpół ubrany uciekł od pana Deviolaine kuchennymi drzwiami.

Tego samego dnia marszałek wycofał się w kierunku na Compiègne, jak mi się zdaje; miasto zostało zdane na łaskę i niełaskę losu.

Tym razem należało oczekiwać nieprzyjaciela lada chwila; matka znów zabrała się do przygotowania gulaszu z baraniny.

Dni upływały na nieustannych alarmach. Wystarczyło, by na szosie ukazało się dwu jeźdźców, a już rozlegały się okrzyki: Kozacy! Kozacy! Przez ulice przelatywało coś w rodzaju trąby powietrznej uciekających dorosłych — i wrzeszczących dzieci: zamykały się za nimi drzwi i okiennice, i miasto wydawało się wymarłe.

...Czas płynął. Walki toczyły się w Mormant, w Montmirail, w Manterau. 19-go lutego nasi odbili Soissons.

Gulasz barani od pięciu dni stał na ogniu. Nie oczekiwaliśmy już Kozaków, przynajmniej nie w najbliższym czasie. Zjedliśmy gulasz.

Nowiny były dość pocieszające. Mówiono o zawieszeniu broni, zawartym z cesarzem austriackim za pośrednictwem księcia Lichtenstein. 24-go Napoleon wkroczył do Troyes i usunął prefekta; w Largny toczyły się pertraktacje w sprawie zaprzestania działań wojennych.

Ale niebawem ogień znów rozpala się nie wiadomo od jakiej iskry i dowiadujemy się raz po raz o bitwach pod Bar-sur-Aube, pod Meaux i o powtórnej utracie la Fère.

Nieprzyjaciel zbliżał się do nas.

Matka po raz trzeci przygotowała gulasz barani.

Nagle mglistego lutowego poranka rozległ się krzyk: Kozacy! Zatętniły kopyta końskie i widzimy, jak ulicą Soissońską wpada z piętnastu jeźdźców, o długich brodach, z długimi pikami, wyglądających raczej na wystraszonych uciekinierów niż na groźnych zwycięzców.

Zamykają się przed nimi drzwi i okna. Konie, puszczone galopem, przebiegają całą ulicę Largny, potem wracają, wciąż galopem, wpadają z powrotem w ulicę Soissońską, z której wypadły, i znikają jak hałaśliwe i straszne widmo.

Tym razem ani gulasz barani ani wino soissońskie nie wydały się dostatecznym zabezpieczeniem przeciwko grożącemu niebezpieczeństwu.

Mieliśmy coś w rodzaju służącej, zwanej Królową. Matka pozostawiła pod pieczą Królowej trzeci gulasz barani, wino soissońskie, cały dom, chwyciła mnie za rękę i nieomal szaleńczym pędem pobiegła do kamieniołomu.

Upłynęło tak pięć czy sześć dni, w ciągu których dowiadywaliśmy się ko-

(Dokończenie na str. 5)

PAMIĘTNIK KAUKASKI (1)

WACŁAW GRALEWSKI

Przystojna stewardessa stawia na moim stoliczku śniadanie. Stoliczek jest z aluminium i tak dowcipnie skonstruowany, że złożony zamienia się w płytkę, którą z łatwością chowa się w torbie skórzanej fotela. Śniadanie jest b. dobre. Dwa jajeczka na miękko, chleb czarny i biały, masło, ostry gruziński ser, potem kura pieczona z garniturem, potem ciasto, mocna herbata (na specjalne zamówienie), owoce, wino i świeży sok jabłkowy. Jem i raz po raz rzucam okiem przez okno. Mam wrażenie, że uczestniczę w wyprawie polarnej. Bezkresna śnieżna płaszczyzna obramowana górami lodowymi, wielkie zamarznięte jeziora, lodowce poskręcane w fantastyczny sposób i ciemne granatowe niebo. Ale wiem, że to tylko złudzenie. Bo przestrzeń arktyczna to po prostu zwały chmur, które płyną pod nami. Tam w dole (wysokościomierz umieszczony na widocznym miejscu pokazuje cyfrę 10380 mtr) jest ziemia. Tylko ponad dziesięć kilometrów przestrzeni dzieli nas od niej...

To już chyba stratosfera. A nic szczególnego się nie dzieje.

Jem sobie jajeczka na miękko, tak jak to mi się często zdarza tam na dole. Śmieszne słowa: tam na dole... A tu na górze jest tak samo.

Małe okienko, okrągłe i hermetycznie zamknięte, trochę przypomina ekran telewizoru. Siedzę wygodnie w fotelu i patrzę, jaki nadają program. Może te lodowce to z racji roku geofizycznego. Tyle tylko, że nie ma pingwinów, białych niedźwiedzi i fok.

Nagle niespodzianka, która wywołuje poruszenie wśród moich towarzyszy podróży. Biała lodowa pustynia jakby się rozstąpiła po gigantycznym trzęsieniu i utworzył się olbrzymi lej, na którego dnie piętrzą się góry. Są takie śmiesznie małe — przypominają mapę plastyczną, na którą patrzy się z oddalenia. A przecież, przecież niejedna z nich ma kilka tysięcy metrów. Ze środka ich wystrzela stożek pokryty srebrem śniegu i lodu. Zaczynają szeleścić mapy. Pochylone głowy pilnie szukają. Aha, to Kazbek, jeden z paru najwyższych szczytów w Europie (5033 m.).

Lecimy nad sercem gór Kaukaskich. I wszystko jest na pozór takie zwykłe, ba, nawet pospolite. I to śniadanko, i ten wygodny fotel, i ci pasażerowie, którzy niczym nie różnią się od pasażerów w przedziałach kolejowych czy w autobusach.

Tylko że w wagonach i autobusach nie ma takich przystojnych stewardess... No i pod nogami nie ma tych naprawdę niebotycznych gór.

Po śniadaniu idę do umywalni. Wykwintna, lśniąca białym lakierem, zaopatrzona jest w gorącą i zimną wodę, dobre mydło i białe jak śnieg ręczniki. Myję ręce i patrzę na Kazbek. Przez skojarzenie zaczynam sobie przypominać jakiś wiersz, którego nauczyłem się w dzieciństwie

Orły, sokoły, dajcie mi skrzydła,
gruz i popioły, ziemia mi zbrzydła.
Ja bym chciał w górze pohulać z wami
I tam na chmurze żyć piorunami.

Aha, przecież to Romanowski, polski Petöffi.

Jakaż ta romantyka jego poezji jest odległa od współczesnej rzeczywistości, a właściwie jak dziecinnie jest w tej chwili bliska...

Przecież to było niedawno... Byłem dzieckiem i patrząc w górę recytowałem romantyczne strofy, chciałem, naprawdę chciałem, zamienić się w sokoła czy orła i wylecieć wysoko do chmur.

Tu mi jak trumna świat niewesoły,
Dajcie mi skrzydła, orły, sokoły...

A dziś... to było chyba tak niedawno... A dziś... dzisiaj myję ręce dobrym mydłem, wycieram je śnieżnobiałym ręcznikiem i z uśmiechem z lekka ironicznym patrzę w dół. Tam, jakieś siedem, osiem tysięcy metrów pode mną, latają orły i sokoły i wydaje im się (jeśli im się w ogóle wydaje), że wzniosły się bardzo wysoko.

Gdyby moje dziecinne marzenia spełniły się, to spadłbym bardzo głęboko. Albo inaczej, marzenia dawne spełniły się ponad plan — 400 % ponad normę.

I nic niezwykłego się nie dzieje. Chyba tylko to, że tam na dole nigdy nie jadam takich treściwych śniadań... no i zadzieram wysoko nos, aby dojrzeć chmury czy szczyty górskie. A tutaj patrzę na nie z góry i rozczarowany jestem monotonią...

Wracam na swoje miejsce, siadam w fotelu i postanawiam się trochę zdrzemnąć. Ale postanowienia nie realizuję. Po prostu nie chce mi się spać.

Przez okno widać znów lodową pustynię chmur. Trochę to nudnawe.

Zaczynam obserwować towarzyszy podróży. Wszyscy zjedli z apetytem śniadanie i wszyscy mają rozleniwiony wyraz twarzy. Ale jest wyjątek. Jest nim ciemnowłosa kobieta. Nie ma na pewno więcej niż czterdzieści lat. Twarz ma bladą i z oczu płyną łzy. Chwyta się raz po raz za głowę i coś mówi. Wstaję i zbliżam się do niej Słyszę słowa rosyjskie. Pasażerka odczuwa silne łupanie i szum w głowie. Chciałaby, żeby ta podróż się skończyła. Uśmiechnięta steweardessa perswaduje jej łagodnie. Wśród pięćdziesięciu pasażerów kobieta ta jest wyjątkiem... Wszyscy lot znoszą dobrze.

Mimo że to stratosfera i mimo że lecimy z szybkością ponad 900 km. na godzinę — nikt nie odczuwa żadnych sensacji.

Podróż odrzutowcem TU-104, o którym tyle mówiło się i pisało, jest bądź co bądź zdarzeniem niecodziennym.

Odległość ze stolicy Gruzji, Tbilisi, do Moskwy (2100 km) przelatuje on w 2 godz. i 15 min.

Siadam znów w fotelu i konstatuję z przyjemnością, że czuję się doskonale. Widocznie mam „lotniczy organizm", którego ani szybkość ani wysokość nie wyprowadza z równowagi. Od chwili startu upłynęła godzina. Pozostało jeszcze 75 minut lotu. Nawet dobrze się człowiek nie zaklimatyzuje na tym pożeraczu przestrzeni, a już podróż się skończy i wylądujemy w Moskwie.

Polska wycieczka, której jestem uczestnikiem, składa się z 23 osób. Są to lekarze, inżynierowie, literaci, muzycy itp. (obie odmiany płci reprezentowane są prawie równomiernie). Z Warszawy do Brześcia wyjechaliśmy 8 sierpnia br. i tegoż dnia pociągiem pośpiesznym do Kijowa. W godzinach porannych pędziliśmy już po „stepach" ukraińskich, połyskujących bezkresnymi polami słoneczników, kukurydzy i złotem rżysk pszenicznych.

Żmerynka, Winnica...

Przedstawiciele starszego pokolenia, pamiętającego te dawne, „dobre czasy" opowiadali, że w Żmerynce był sławny bufet. Stół długości pięćdziesięciu metrów zapełniony był zakąskami tak różnorodnymi, że idąc od końca do końca nie spotykało się dubletów. Podobno pociągi miały tu parogodzinne postoje, aby pasażerowie mogli w pełni zaznać rozkoszy kulinarnych w tej oazie obfitości gastronomicznej.

A ponieważ muza moja na czczo jest gniewna i zgryźliwa, więc gdy pociąg nasz zatrzymał się w Żmerynce (postój tylko 10 minut) wyskoczyłem z wagonu i jelenimi susami popędziłem do sal restauracyjnych.

A nuż...

Ale niestety, wielkie i piękne sale były puste, a w skromnym bufecie można było napić się wody mineralnej (na żądanie z sokiem), zjeść „filipowskij pirażok" lub bułkę z wędliną. Zrobiłem więc tylko kilka głębokich wdechów — zawsze to dobrze odetchnąć tradycją — i pobiegłem z powrotem, obiecując sobie podrażnienie zaspokoić w doskonale zaopatrzonym wagonie restauracyjnym.

Wkrótce urok krajobrazu ukraińskiego zatarł żmerynkowskie nastroje...

Do Kijowa dotarliśmy w godzinach popołudniowych i z dworca autokarem pojechaliśmy do hotelu „Ukraina". Po otrząśnięciu pyłu podróżnego zanurzyłem się w ulice miasta, które wstępnym bojem zdobywa serce każdego.

Po spadzistej ulicy kroczę w dół i wkrótce jestem na Kreszczatiku. Zatrzymuję się i patrzę. Chłonę zarówno widok ogólny, jak też i wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

Tłum wypełniający ulice jest żywy, ruchliwy, ale trochę egzotyczny. Sprawiają to duże słomiane kapelusze, które tu noszą prawie wszyscy mężczyźni. Robi to wrażenie ogólnokrajowego zjazdu pszczelarzy. Tylko młodzież się emancypuje.

Od czasu do czasu wyłania się z tłumu dobrze zbudowany mężczyzna w szarawarach, butach lakierowanych, pięknej wyszywanej koszuli, no i oczywiście z dużym „słomiakiem" na głowie. Przypomina aktorów z oper ludowych. Ale on właśnie nadaje akcent i reprezentuje folklor.

Język rosyjski dominuje wśród przechodniów, nawet Ukraińcy mówią nim chętnie.

Idę wzdłuż Kreszczatiku, który tętni życiem i przyglądam się murom i ludziom. Kijów był silnie zniszczony podczas działań wojennych, a nie widać żadnych ruin czy szczerb na domach. Ślady burzy i naporu zostały zatarte.

Słyszę okrzyki o, o, o... Otwieram oczy, które przymknąłem i widzę, jak współtowarzysze łapczywie spoglądają w okienka. Znów chmury rozstąpiły się i głęboko na dnie widać cienką połyskującą nitkę.

— Kanał Wołga-Don a z lewej Don — mówi rzeczowo młody przystojny mężczyzna.

A więc poważna atrakcja turystyczna, tylko że oglądana z dużej wysokości, no ale bądź co bądź...

Samoloty pasażerskie w ogóle, a odrzutowe w szczególności nie są najlepszym sposobem poznawania dalekich krain. Mapa daje podobne wrażenia.

Zarejestrowawszy we wspomnieniach przelot nad głośnym kanałem, znów powracam do poprzedniej pozycji, to znaczy wygodnie wyciągam się w fotelu, zamykam oczy i staram się robić przegląd doznanych wrażeń. Aha, Kijów Gdyby mnie zapytano, co w tym mieście podobało mi się najbardziej, trudno by mi było dać odpowiedź. Miasto to stanowi całość, która urzeka. A wyodrębnienie w tej całości jakiegoś fragmentu, który silniej przemawia do turysty niż inne, jest trudne. I wysoki prawy brzeg, i Dniepr, i zabytki, i nowoczesne dzielnice tworzą nierozdzielną całość.

Soczi. Sanatorium „Czajka"

Mój Lublin

(Dokończenie ze str. 3)

czywistością włączenie do swej paczki „Madziara", inne plany przestały być realne. Było to już w latach późniejszych i choć od tego czasu minęło sporo lat, cała ta z lekka naszkicowana przeszłość stoi mi żywo przed oczami; wielekroć słyszałem szczegóły tej historii, przeżywałem ją, działała sugestywnie i stała się dla mnie ogromnie żywa — osobista!

Owe czasy sprzęgają mnie nierozerwalnymi więzami z Lublinem.

Drugi obraz przypada na bliższe nam wszystkim dzieje. Lublin — po drugiej wojnie światowej — mozolną pracą stwarza klimat dla kulturalnego i umysłowego życia. Skokiem rewolucyjnym staje się miastem pięciu wyższych uczelni. Gromadzi nie tylko pedagogów szkół średnich, ale i elitę uniwersyteckich. Lublin się odbudował, wypiękniał i odmłodził. Zasługę w tym mają i ci starzy, którzy przetrwali a także ci młodzi, na których przyszła kolej

Jeszcze czeka na mnie w Lublinie nieoceniona Ciociunia - Stasiunia jako symbol arki przymierza między dawnymi a nowymi czasy, przyciągają groby pod tujami na cmentarzu przy ulicy Lipowej, ale już wyłaniają się sylwetki nowych osobistości. Oto Leszek Siemion z takim zrozumieniem napisał o tym, jak to malarz węgierski „hojną paletą" przedstawił węgierski i polski pejzaż. Powrócił do tematu wystawy i wówczas jeszcze, kiedy przejeżdżając przez Węgry z okien wagonu „Orient expressu" — spoglądał na snujący się krajobraz okiem owego malarza, który czar swojej ojczyzny przywiózł również do Lublina. I Tadeusz Chabros nie pozostał mi dłużny pisząc wiele pięknego o mojej sztuce. Helena Platta z natchnieniem napisała o tym jak to: „tęsknota pejzaż snuła" i układała w panoramiczny film. Ze pochlebne i miłe mi myśli znalazł dla porównania „słowa i barwy" Wacław Gralewski — to już nawet nie jego zasługa ani moja, tylko tych wspólnie nas wiążących i obowiązujących nici przyjaźni z rodziną, ze sztuką, z miastem.

Ten drugi z kolei obraz utkwił głęboko w mojej pamięci, przeżyłem go mocniej, niż teraz potrafię oddać, wzmocnił sojusz powstały dawniej między mną a tym miastem, tak sympatycznym nawet i z powodu tego koziołka, który przypomina mi herb innego miasta niziny węgierskiej: Kecskemet. I tam koziołek drapie się na gałąź winną, ale każdy z nich zajęty własną latoroślą nie pomyślał o tym, żeby nawiązać ze sobą bliższą znajomość. Konkurencję zrobił poważny Debreczyn i wysunął dłoń w kierunku Lublina, zawarł przyjaźń polsko-węgierską.

To, co powiedziałem, ma wyjaśnić i uzasadnić, jak bardzo czuję, iż więź istniejąca od dawna obowiązuje mnie i teraz. Od czasu pierwszej mojej wystawy w Lublinie czułem, że muszę na drugiej wystawie pokazać, jak to kapitał wspomnień, serdeczność przyjaciół i miłośników sztuki stworzyła mi optymalne warunki do dalszej pracy twórczej. Serdeczne przyjęcie mnie przez społeczeństwo lubelskie i kolegów działało krzepiąco w moich dalszych wędrówkach.

Dziś z odległości minionych trzech lat mogę powiedzieć, że to „błogosławieństwo" było mi potrzebne. Od tego czasu miałem wystawy w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Kudowie i Polanicy Zdroju, w Tarnowie, Nowej Hucie i Radomiu. Wszędzie starałem się dawać nowy zestaw, pokazać nowe spojrzenie na węgierski, a zwłaszcza na polski pejzaż. Odkrywałem dla siebie i dla innych piękno Iwonicza, Raszyna, Zakopanego, Mazur. Miałem wiele spotkań z szeroką rzeszą publiczności z różnych środowisk. Wykrystalizował się jaśniej mój stosunek do sztuki i jej odbiorcy. Nic rewelacyjnego nie przyniosłem. Staram się być szczerym i wiernym sobie. Wystawa każdego malarza jak wypowiedź artysty jest zawsze spowiedzią tego, co czuł i przeżywał, co gorąco miłował, czym się radował, cieszył, o co walczył ze sobą, z otoczeniem i ze światem. Czuję się nadal człowiekiem nowoczesnym, ale nie choruję na modernizm. Na tym tle powstały prace znad błękitnego Balatonu, sino-szarego Bałtyku i coraz bardziej pęczniejąca teka lubelska. Przynoszę powtórnie swój świat do was i śmiem prosić o jedno: patrząc na moje obrazy, niezależnie od tego, czy wam się będą podobały, czy nie, nie przechodźcie z oschłym sercem koło tego, co jest przedmiotem mego umiłowania, czaru ziemi i nieba, morza węgierskiego (Balatonu) czy polskiego, drzew, wschodów i zachodów słońca, nastrojów wiosny i złotej jesieni.

A co do wyboru tej formy dzisiejszego spotkania, to natchnął mnie Stefan Żeromski pisząc:

„do jakiej granicy rozpasania oświatowego doszły niektóre lubelskie żywioły, najlepiej zaświadczy fakt, że przestał im już wystarczać odczyt, który się poczciwym starym obyczajem po jednorazowym skompilowaniu obwoziło z miejsca na miejsce. Żywioły zaczęły żądać..."

Pragnę je z uczuciem głębokiej wdzięczności zaspokoić i pracą mą pokrzepić.

Tibor Csorba

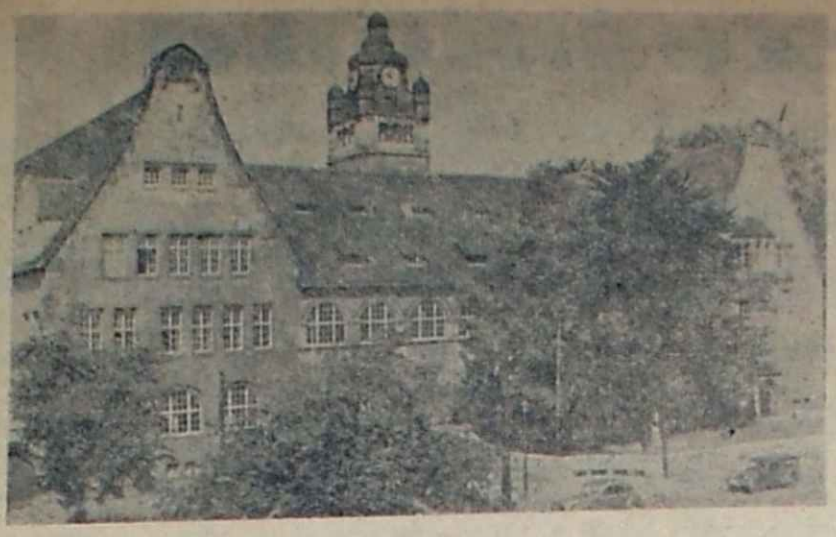

400-lecie Uniwersytetu w Jenie

ADAM PASZEWSKI

Armia cesarza rakuskiego pobiła pod Mühlberg nad Łabą (27.4. 1547) wojska protestanckiej Konfederacji Schmalkaldskiej. Wódz naczelny Kurfürst Jan Fryderyk Saski dostał się do niewoli i utracił część swego terytorium wraz z uniwersyteckim miastem Wittenbergą. Wprawdzie uniwersytet w Wittenberdze był wówczas jeszcze bardzo młody (założony w 1502 roku), ale zdobył sobie sławę dzięki reformatorskiej działalności jednego ze swych profesorów teologii, by ego zakonnika augustiańskiego dr Marcina Lutra.

Nieszczęśliwy dla Sasów wynik kampanii, utrata terytoriów, doprowadziła do założenia w Jenie 4-wydziałowego uniwersytetu, a w dalszej konsekwencji do... obchodu 400-lecia uniwersytetu w bieżącym roku.

Cesarz Ferdynand podpisał 15 sierpnia 1557 r. akt erekcyjny uniwersytetu i powołał do życia następujące wydziały: teologii protestanckiej, prawa, medycyny, sztuk wyzwolonych. Fakt, że cesarz katolicki zgodził się na wydział teologii protestanckiej, pięknie świadczy o tolerancji panującej wówczas w cesarstwie rzymskim narodu niemieckiego.

Władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie wpadły na fatalny pomysł wydzielania z uniwersytetów poszczególnych wydziałów i tworzenia z nich odrębnych szkół. Uniwersytet w Jenie nie tylko posiada w dalszym ciągu wydziały z 1558 roku, ale otrzymał nowe. W Jenie jest dzisiaj 7 wydziałów: filozofii (odpowiada wydziałowi humanistycznemu w Polsce), prawa, teologii, medycyny, matematyki i nauk przyrodniczych (odpowiada wydziałowi matematyczno-fizyczno-chemicznemu oraz wydziałowi biologii i nauk o ziemi naszych uniwersytetów), rolnictwa i zootechniki. Siódmym wydziałem jest wydział dla robotników i chłopów, odpowiadający mniej więcej naszym studiom zaocznym.

Uroczysty obchód jubileuszowy przygotowano z całą starannością. Już w 1957 roku otrzymaliśmy piękne zaproszenia po łacinie. Zjazd był liczny. Do Jeny przyjechali przedstawiciele całego świata — przedstawiciele pięciu kontynentów. Oto kilka nazwisk: Dr Serle z Melbourne w Australii, prof. dr Robbins z Utah w USA, profesorowie dr Kohly i dr Guenena z Egiptu. Rzecz zrozumiała, że szczególnie licznie reprezentowany był obóz socjalistyczny: Chiny, Mongolia, Korea, Wietnam, ZSRR, Rumunia, Węgry, Bułgaria, Czechosłowacja, Albania, Jugosławia, Polska. Z Europy Zachodniej obecni byli przedstawiciele uniwersytetów Anglii, Szkocji, Holandii, Belgii, Francji, Finlandii, Szwecji. Na tle tak licznie reprezentowanej zagranicy odbijał zupełny niemal brak przedstawicieli uniwersytetów Niemieckiej Republiki Federalnej, świadectwo głębokich różnic ideologicznych między socjalistycznym i kapitalistycznym państwem niemieckim.

W skład dziesięcioosobowej delegacji polskiej wchodzili: prof. dr Kumaniecki, przedstawiciel Polskiej Akademii Nauk, rektorzy uniwersytetów w Warszawie, Łodzi, Lublinie prorektorzy Uniwersytetu Jagiellońskiego, Poznańskiego, Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie oraz profesorowie z Krakowa, Poznania, Wrocławia.

Delegacji naszej przewodniczył profesor Turski, rektor Uniwersytetu Warszawskiego. Objęcie przewodnictwa przez rektora Turskiego nie było przypadkowym zbiegiem okoliczności. Zadecydowała przeszłość rektora. Przedwojenny działacz lewicowy został jeszcze w 1939 r. aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau. Wypuszczony na krótki czas, trafił znowu do obozu koncentracyjnego, a stamtąd do więzienia Gestapo na Prinz Albert Strasse w Berlinie. Rektor Turski spotykał się w czasie swych obozowych i więziennych wędrówek z wielu komunistami niemieckimi, którzy zajmują dzisiaj czołowe stanowiska w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Współwięźniem był minister Henryk Rau, reprezentujący rząd NRD na uroczystościach jenajskich. Fakt ten mówi sam za siebie.

Rektor Turski posiadał zatem pełen tytuł do wypowiedzenia w przemówieniu gratulacyjnym następujących słów: „Przed 19 laty, 1 września 1939 r., padły pierwsze bomby na Uniwersytet Warszawski. Jednak już wówczas wiedzieliśmy, tak samo jak to dzisiaj wiemy, że nie można identyfikować militarystów i faszystów z narodem niemieckim. Dzisiaj kroczą wspólnie Niemiecka Republika Demokratyczna i Polska Ludowa tą samą drogą, drogą wolności, poszanowania praw narodowych i pokoju dla dobra całej ludzkości". Długotrwałe oklaski licznie zebranej publiczności niemieckiej świadczyły o pełnej aprobacie stanowiska rektora Turskiego, a tym samym delegacji polskiej.

Łacińskie przemówienie gratulacyjne prof. dr Kumanieckiego wywołało niebywały efekt. Jedyny prof. Kumaniecki posłużył się czcigodną mową starożytnego Rzymu na uroczystościach jenajskich.

Rzeczoywista delegaci występowali w uroczystym stroju akademickim. Dzień 1 sierpnia zakończył capstrzyk młodzieży. Młodzież prowadziła nas z mensy uniwersyteckiej na Rynek, oświetlając drogę pochodniami. Na Rynku odbyła się uroczystość młodzieżowa. Mówcy podkreślali jedność obozu socjalizmu w walce o pokój i równouprawnienie wszystkich ludów.

Dnia 2 września, w czasie aktu państwowego, mowę programową wypowiedział w imieniu rządu NRD minister Henryk Rau. Nawiązał on do oświadczenia senatu, że uniwersytet Fryderyka Schillera jest integralną częścią pierwszego niemieckiego państwa chłopów i robotników i że wkracza w piąty wiek swego istnienia jako uniwersytet socjalistyczny. Mówił o historii uniwersytetu, o nauce jako podstawie socjalizmu i o warunkach rozwoju nauki w państwie socjalistycznym.

3 września Senat, profesorowie i goście przeszli ulicami Jeny z gmachu uniwersyteckiego do Domu Ludowego. Pogoda sprzyjała, togi akademickie najrozmaitszego kroju i barw, oraz łańcuchy rektorskie mieniły się w słońcu jesiennym. Ludność miasta wyległa na ulice. Wyczuwało się, jak mieszkańcy Jeny przywiązani są do swego uniwersytetu i jak bardzo są z niego dumni. Miałem okazję stwierdzić przy wielu sposobnościach, że władze miejskie zabiegają o dobro uniwersytetu uprzedzająco zaspokajają jego potrzeby. Fakt ten był szczególnie interesujący dla rektora UMCS. Władze miasta Jeny mają z pewnością moc kłopotów lokalowych i innych. Przecież Jena bardzo ucierpiała na skutek nalotów, centrum miasta zostało zburzone, przemysł rozwija się lawinowo, sam Zeiss to już blisko 20000 pracowników. Dzięki czemu władze miejskie dają sobie radę z tyloma skomplikowanymi problemami? Chyba dzięki temu, że ustaliły hierarchię potrzeb i działają planowo.

Przedstawienie teatralne zakończyło trzeci dzień uroczystości, środę 3 września. Przedstawienie Urfausta J. W. Goethego w Deutsches National Theater w Weimarze zrobiło na zebranym tego wieczora międzynarodowym towarzystwie głębokie wrażenie. Jak wiadomo, Urfaust zawiera w zasadzie główne myśli Fausta. Goethe przekonywająco dowodzi ze sceny, że poddana przez Mefista teza: „Grau ist alle Theorie und grün des Lebens goldener Baum", jest tezą błędną, tezą, która doprowadza do katastrofy Gretchen i samego Fausta, że konieczna jest teoria, koniecznym system pojęć etycznych, do którego można by się odwołać.

Następnego dnia zawieziono nas do Buchenwaldu.

Goethe wskazał na tragiczne skutki braku systemu moralnego w życiu jednostek. Hitler wcielił w życie faszywy system etyczny, a Buchenwald i inne obozy koncentracyjne to przykład rezultatów, jakie daje zetknięcie się fałszywej teorii z życiem narodów, jest to niejako umasowienie tragedii Fausta i Gretchen.

Obywatele Niemieckiej Republiki Demokratycznej otoczyli obóz w Buchenwaldzie opieką pełną pietyzmu, w hołdzie ofiarom faszyzmu ku przestrodze żyjącym.

Na miejscu kaźni wzniesiono szereg pomników, krużganki kamienne, monumentalną 50-metrową dzwonnicę. Ryty w kamieniu napis głosi:

Die Vernichtung des Faschismus mit seinen Wurzeln ist unsere Losung! Der Aufbau einer neuen Welt des Friedens und der Freiheit ist unser Ziel.

Wśród gwaru uroczystości jubileuszowych nie zapomnieli organizatorzy o nauce. Odbywały się liczne wykłady profesorów jenajskich i uczonych zagranicznych. Ponadto mieliśmy okazję zwiedzenia znanych na całym świecie Zakładów Optycznych Zeissa, huty szkła optycznego i laboratoryjnego Schotta, fabryki leków Jenapharn.

Uroczystości jenajskie miały nie tylko uczcić czterechsetlecie sławnego i czcigodnego uniwersytetu Fryderyka Schillera. Zamiary organizatorów sięgały znacznie dalej. Celem uroczystości jubileuszowych było wykazanie znaczenia nauki dla socjalizmu, socjalizmu dla nauki przy pełnym nawiązaniu do tradycji uniwersyteckich.

Rektor Uniwersytetu prof. dr Otto Schwarz oświadczył na zakończenie obchodu: „Uniwersytet Jenajski wkracza w piąty wiek swego istnienia jako uniwersytet socjalistyczny".

OSTATNIE DNI EPOPEI

(Dokończenie ze str. 3)

lejno o walkach pod Lizy, pod Saint-Julien, pod Bar-sur-Seine.

Nareszcie któregoś dnia usłyszeliśmy działa... z podwórza naszego domu.

Walka toczyła się w Neuilly-Saint-Front.

Następnej nocy zasnąłem z głową pełną huku i śniło mi się, że Kozacy wdarli się do kamieniołomu.

Rano opowiedziałem sen matce, która tak się wystraszyła, że postanowiła następnego dnia wyjechać wraz ze mną.

Dokąd? Nie miała pojęcia. Zdawało się jej tylko, że zmieniając miejsce pobytu zażegnywa niebezpieczeństwo.

...Sprzymierzeńcy weszli do Paryża 31-go marca.

1-go kwietnia Senat mianował Rząd Tymczasowy.

2-go dekretem Senatu Napoleon został zdetronizowany.

W dwa tygodnie później byliśmy z powrotem w Villers-Cotterets, w naszym domu.

Ileż rzeczy stało się w ciągu tych dwu tygodni, które zmieniły oblicze Europy.

W dwa czy trzy tygodnie po naszym powrocie do Villers-Cotterets odwiedził nas pan Collard: matka długo z nim rozmawiała; nareszcie pan Collard pożegnał się, umawiając się z matką na wieczór tego samego dnia u pana Deviolaine.

Matka poszła do pana Deviolaine i zabrała mnie ze sobą.

Matka i pan Collard znów rozmawiali. Pan Collard jechał następnego dnia do Paryża; obiecał, że przed wyjazdem wstąpi z kolei do nas.

Wieczorem po powrocie matka wzięła mnie na stronę i rzekła z wyrazem serdecznym, ale bardziej uroczystym niż zwykle:

— Mój drogi, hrabia d'Artois, którego mianowano wodzem naczelnym francuskich sił zbrojnych, oraz Ludwik XVIII, powołany na tron Francji — są obaj braćmi Ludwika XVI. Dziad twój, markiz de la Pailleterie, służył Ludwikowi XVI podobnie jak ojciec twój służył Republice. A teraz posłuchaj, bo prawdopodobnie cała twoja przyszłość zależy od naszego postanowienia. Czy chcesz nazywać się Davy de la Pailleterie, jak twój dziad? W takim razie jesteś wnukiem markiza Davy de la Pailleterie, pokojowca jaśnie oświeconego księcia Conti i komisarza generalnego artylerii; uzyskasz stypendium lub zostaniesz paziem; w każdym bądź razie będziesz miał zapewnione stanowisko u boku rodziny panującej. — Chcesz nazywać się po prostu Aleksander Dumas, jak twój ojciec? W takim razie jesteś synem republikańskiego generała Aleksandra Dumas, i wszelka kariera jest przed tobą zamknięta: ojciec twój bowiem, w przeciwieństwie do dziadka, nie służył tym, którzy panują, tylko służył przeciwko nim! ...Pan Collard jedzie dziś do Paryża; zna on pana Talleyrand, był z nim razem członkiem Ciała Ustawodawczego; zna księcia Orleańskiego; słowem zna wiele osobistości nowego dworu. Jego postępowanie będzie zależne od twej decyzji. Namyśl się więc dobrze, nim odpowiesz.

— Nie mam się co namyślać — zawołałem — nazywam się Aleksander Dumas, tak i nie inaczej. Znałem mego ojca, nie znałem dziadka; cóż pomyślałby sobie mój ojciec, gdybym się go wyrzekł, aby nosić nazwisko dziadka.

Oblicze matki rozpromieniło się.

— Naprawdę tak uważasz?

— I ty także, prawda, mamo?

— Niestety tak, ale co z nami będzie.

— Phi! zapominasz, że tłumaczę już De viribus i że wiem, co znaczy dewiza mego ojca: Deus dedit, Deus dabit: Bóg dał, Bóg da.

Następnego dnia znów zjawił się pan Collard; postanowiliśmy, że nie będzie prosić o nic dla mnie, a za to postara się tylko o trafikę dla mej matki.

*Zresztą Bóg, jak się zdawało, wynagrodził moją ufność. Matka uzyskała te jedyną rzecz, jaką udało się jej uzyskać w ciągu dwunastu lat kołatania o pomoc *).*

Tłum. **Anna Tatarkiewiczowa**

*) *Wybór „Pamiętników" Aleksandra* Dumasa w przekładzie A. Tatarkiewicz ukaże się nakładem „Iskier".

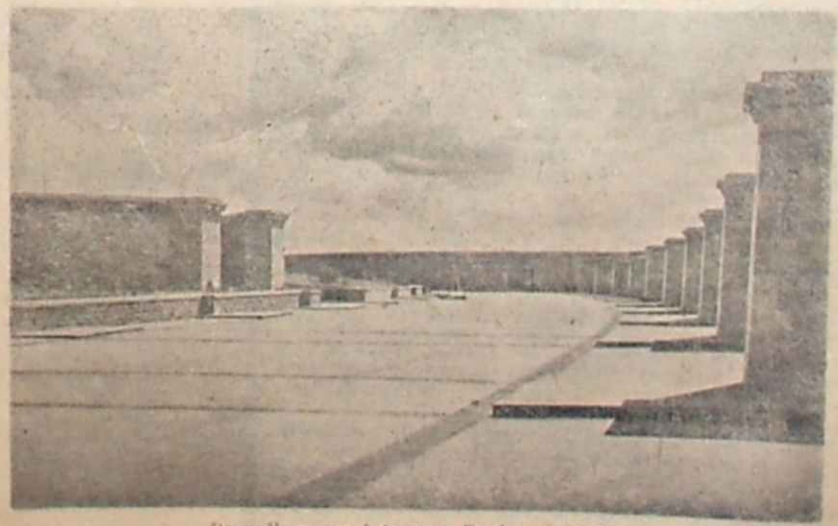

Pomnik męczeństwa w Buchenwaldzie

Kartka wrześniowa

IRENA PARANDOWSKA

TYSIĄCE ludzi tędy przeszło. Może setki tysięcy. Tym szerokim gościńcem. Pod tą wierzbą, której rozłożysty cień przyjaźnie do spoczynku zachęcał, siadali zmęczeni wędrowcy. Jedni wyjmowali z tobołka czy plecaka prowianty i jedli. Inni mieli jeszcze tyle energii, żeby się zerwać i z pobliskiej studni wodę zaczerpnąć, która ochładzała ich wyschnięte gardła. Miało się wrażenie, że kościsty wilczur, uwiązany na łańcuchu, szczeka już tylko z obowiązku, bo w samej rzeczy już się przyzwyczaił w ciągu prawie miesiąca do tej bezustannej wędrówki ludów i ujadał ot tak — żeby wobec swoich chlebodawców zaznaczyć ważność swojej roli.

Był koniec września, ale pogoda miała zapach i łagodność przedłużającego się lata, a soczystość zieleni nie zaprószyła się żadnym tonem jesiennych kolorów. Dziwiliśmy się temu niezakłóconemu rytmowi wschodów i zachodów słońca, delikatnym obłokom, przesuwającym się na błękicie nieba, bezustannym świergotom ptaków, których łagodne brzmienie nie milkło pod warczącym hukiem maszyn nad ich głowami. Ale to nie ich gniazda były zagrożone. Ze ściśniętym sercem nadsłuchiwaliśmy odgłosów spadających bomb, z niepokojem śledziliśmy kierunek stalowych skrzydeł!

„Którędy iść? Gdzie jest bezpieczniej? Czy tutaj wroga nie spotkamy?"

Jesteśmy o półtora kilometra od Kocka. Nagle pojawiają się samoloty. Coraz więcej, coraz ciemniej na niebie. Trach! Trach, zapalają się świece w powietrzu, spadają bomby na miasto, jedna, druga, trzecia dziesiąta — dwudziesta! Już cały Kock płonie! Stoimy jak porażeni, a naprzeciw nas biegną matki z dziećmi, mężczyźni ciągną za sobą ryczące bydło na postronkach. Znowu bomby! Chowamy się w krzaki, kulimy pod drzewami. Obok leży, nie człowiek, ale strach, wyciągnięty, żółty strach, jakby sam przed sobą udawał już martwego. Nawet okiem nie waży się poruszyć i wygląda tak, jakby swoje spojrzenie zawiesił na tej zielonej gałązce, tej najniższej na drzewie.

Późnym już wieczorem cofamy się na kolonię Talczyńską i pukamy do drzwi zacnego gospodarza Gaworka. Prowadzą nas do białej izby, gdzie łóżka są wyścielone górą poduszek. Strudzeni zasypiamy w rozkosznym zapachu czystości. Nastąpił jakiś pozorny okres stabilizacji. Nasz dziewięcioletni Zbyszek wyruszał rano w pole z gospodarzem i pomagał kopać kartofle. Kiedy wracał wieczorem, gospodyni przynosiła piękny bochen chleba i kosz kartofli, ze słowami:

„Masz, Zbyszku, to za twoją pracę". A potem do mnie:

„On ma charakter do pracy".

Kiedy wyszłam po wodę do studni, z naprzeciwległego lasu sosnowego wyłoniło się z lewej strony jedno, i z prawej drugie skrzydło naszego wojska. Szli równym krokiem, w rytmie zwolnionego marszu, trzymając przed sobą nastawione do strzału karabiny. Patrole wojskowe na koniach jeździły w nocy i w dzień.

Dom Gaworków był spory. Posiadał cztery izby i któregoś dnia oficerowie ze sztabu generała Kleberga zakwaterowali się u nas. Jedną izbę zamieniono na kancelarię wojskową, w innych był bezustanny ruch oficerów i żołnierzy.

Przynoszono meldunki, wynoszono rozkazy. Przed domem postawiono działo przeciwlotnicze. Byliśmy już wówczas okrutnie zmęczeni. Pod „Krzywdą" musieliśmy opuścić pociąg wielokrotnie bombardowany i odtąd zaczęła się smutna wędrówka po drogach i lasach. Za nami płonęły miasta i wsie. Zewsząd czyhało niebezpieczeństwo, niezrozumiałe przez niemożliwość zorientowania się, skąd ono może nadejść.

Tu w tej chacie w obecności naszego wojska, jeszcze w pełni akcji działającego, poczuliśmy się bardziej bezpieczni. Ale to nie trwało długo. Pułkownik Tabaczyński powiedział do nas:

„Wszystko stracone. Jeszcze walczymy, jeszcze się bronimy, ale to tylko dla honoru, dla honoru. Przewaga po tamtej stronie jest tak wielka, w ludziach, w sprzęcie — zrobił wymowny gest — na nikogo już liczyć nie można. Jeszcze dzień, dwa... i musimy uciekać, żeby nie wpaść im w ręce".

Wyjął mapę sztabową, nachylił się i melancholijnie wodził po niej palcami.

„Może najlepiej będzie, jeśli udacie się państwo w kierunku Woli Osowińskiej".

W południe po tej rozmowie wpadła do nas Elżunia Niczewska, towarzyszka z bombardowanego pociągu. Razem z jej ojcem, bardzo miłym panem z siwą bródką, w spodniach sztruksowych, odbywaliśmy naszą wędrówkę. Zamieszkali w sąsiedniej chałupie. Wciąż były narady, dzieliliśmy się wiadomościami. Pan Niczewski rozkręcał papierosy egipskie, których miał spory zapas, i maszynką nabijał tytoń w gilzy Morwitanu. Po bratersku dzielił się z nami. Był to jowialny staruszek i drażnił nas jedynie swoim niepoprawnym optymizmem w momentach najbardziej tragicznych.

„Niech tatuś już raz sobie z głowy wybije tych Anglików, którzy nam figę pomogli".

„Uspokój się, moje dziecko, i nie wdawaj się w politykę, na której — ot, tyle się znasz". I z kolei „figę" jej trzema palcami pokazywał.

Elżunia miała zresztą głowę nabitą głównie poszukiwaniem swego narzeczonego, z którym rozstała się w Warszawie na godzinę i już później odnaleźć go nie mogła. Mieli za sobą trzykrotną próbę zawarcia związku małżeńskiego i trzykrotne bombardowanie im ten związek udaremniło.

Wpadła Elżunia, odrzuciła swoje złote, grubości prawie pięści, warkocze do tyłu i powiada:

„Mam szaloną ochotę na pomidory, kochana pani Ireno, chodźmy do „wiedźmy", może sprzeda nam dziś jeden kilogram. Podobno syn jej wrócił. Może da się ubłagać".

Cała wieś wiedziała, że Piotr Kawczyński wrócił z wojny. Cała wieś o tym mówiła. Osiem sióstr szybko rozniosło tę wiadomość po chałupach. Wieść tym radośniejsza, że kowal, który dwa tygodnie temu wrócił spod Kutna, rozpowiadał na lewo i prawo, że Piotr padł ciężko ranny na polu chwały i pewnie tam został na wieki.

O kilometr od nas, opodal owej wierzby rozłożystej, przy szerokim gościńcu, stał dom Kawczyńskiej. Nie uparkaniony, w niczyim sąsiedztwie, wyglądał, jakby tu przypadkiem się znalazł i oprócz studni i budy psa nie było żadnej przybudówki wskazującej na żywotność tej zagrody. Za to w środku obszernej izby, do której wchodziło się wprost ode dworu, roiło się od much czarnych, wypasionych na tłustych połciach słoniny, zwalonej po ławach i stołach. Gospodyni, nachylona nad garnkami, wielką łychą maściła dymiące kartofle skwarkami, dorzucając grube plastry kiszki krwawej, zrumienionej na płatach cebuli. Przerzucając jedną miskę po drugiej, rozdzielała to sute jadło między swoją liczną gromadę składającą się z ośmiu córek. W drugiej izbie leżał syn, jedynak, najstarszy, najważniejszy, potężny władca, oddzielony od całej reszty tego domu tajemniczą wyższością, odrębnością swojej płci.

Kawczyńska niechętnie odnosiła się do uciekinierów z Warszawy, uważając ten tłum za intruzów i włóczęgów, którzy nie wiadomo dlaczego nawiedzają jej dom. Pozbawiona wyobraźni, o umyśle raczej infantylnym, nie umiała odczuć grozy momentu. Zachodziłam tu kilka razy z konieczności, gdyż dom ten z całej kolonii był najbardziej zasobny, ale nie zawsze udawało mi się nabyć upragniony produkt.

„Baby — mówiła po drodze Elżunia — postawiły mu wczoraj sześćdziesiąt baniek, bo wrócił chory. Obawiały się zapalenia płuc. Może się bardziej na nas rozsierdzi i z kwitkiem odstawi".

Opowiedziałam Elżuni naszą dzisiejszą rozmowę z pułkownikiem i obie odczułyśmy bezsens naszych zabiegów. Już chciałyśmy się cofnąć przed samym domem Kawczyńskiej, kiedy z drugiej strony drogi przydreptał ojciec Elżuni, pan Niczewski.

„Tatusiu, są bardzo niedobre wiadomości. Pani Irena rozmawiała z pułkownikiem. Nasi będą musieli lada moment ustąpić. Wróćmy do domu, żeby się naradzić, dokąd się udać i co robić dalej".

„Uspokój się, moje dziecko, i nie wpadaj w panikę. Mamy czas. Na razie dookoła wszędzie każdy krzaczek jest obstawiony naszym wojskiem. Zdążymy jeszcze, zdążymy. Masz pomidory? Mam szaloną ochotę na sałatkę". Zapukaliśmy.

„Niech będzie pochwalony".

„Na wieki wieków! Czego? Czego!"

Mój Boże! W powietrzu aż zaświstało od tego słowa i uderzyło w nas jak bat! Elżunia ścisnęła mnie za rękę, czułam, że palnie jakieś mocne słowo, które „wiedźmie", słusznie tak przezwanej, mocno za skórę wejdzie. Ale Elżunia jeszcze się opanowała:

„Przyszliśmy panią prosić, żeby nam kilo pomidorów odstąpiła".

„Nie ma pomidorów, zawracanie głowy. Wciąż się czegoś zachciewa, a za robotę by się to wzięło, zamiast tego włóczęgostwa po chałupach".

Pan Niczewski wtrącił się.

„Zaraz, zaraz, paniusiu, nie tak ostro. My za darmo nie chcemy". Ale krwista Elżunia nieomal krzyknęła:

„Jeśli tatuś jeszcze słówko — i nakłoni, to ja wyrzucę te pomidory i w ogóle nic chcemy, niczego nie chcemy, idziemy stąd, słyszy tatuś?"

Obróciliśmy się i poszliśmy w kierunku drzwi. Ale one otwarły się gwałtownie popchnięte z tamtej strony.

Niemcy!

Ciemno w izbie się zrobiło od ich mundurów, groźnie od mowy ostrej, która napełniła te ściany.

„Hände hoch!"

Wejście wroga zmusiło nas do pozostania w tym domu, może na długo — może na zawsze! Bo oto zbliża się jeden z nich do pana Niczewskiego, sięga mu ręką do surduta. Pan Niczewski opuszcza rękę, odsuwa go.

„Was wollen sie?"

W ręku tamtego rewolwer.

„Du Esel, wir werden dir zeigen — was wollen sie".

Ale Elżunia już chwyciła tę rękę. Wysoka, wyprostowana, piękna w swoim strachu i odwadze, szamocze się z tą ręką i mówi.

„Wollen sie einen Esel töten?"

Słysząc dookoła wybuchy śmiechu, puszcza tę rękę, ale jeszcze stoi i bada jego twarz. Patrzy mu prosto w oczy blaskiem swoich cudnych szafirowych oczu.

Dotknęła właściwej struny, biada jej ojcu, a może nam wszystkim, gdyby próbowała potrącić o humanizm.

Okazało się, że mówi płynnie po niemiecku i z największym opanowaniem, spokojnie objaśniła Niemcom różnicę prostackiego powiedzenia — „czego pan chce" a formą grzecznościową — „czego sobie pan życzy?" Pan Niczewski był wściekły. Byłam przekonana, że wybrałby raczej śmierć, niż ocalenie za taką cenę. Ale Elżunia ma inny pogląd na tę sprawę. Rozmawia teraz z kapitanem, który podziwia jej niemczyznę i wypytuje o polskie wojsko. Elżunia kręci głową. Słyszę: „Nur Zivilleute".

Kapitan zbliża się do drzwi pokojowych. Widzę przerażone spojrzenie matki i córek. Znam ich myśli, bo je podzielam. „Wejdą — zabiorą go — a może zabiją?" Jedna z sióstr przesuwa się do mnie.

„Niech go ratuje, zapalenie płuc, bańki, proszę powiedzieć". Powtarzam szeptem: „Bańki, zapalenie płuc, niech go pani ratuje". Elżunia robi rozpaczliwy ruch — nie wie, jak po niemiecku bańki. A tu już czasu nie ma. Kapitan ryczy:

„Rraus". Każe mu się ubierać. Wpadamy do pokoju.

Wysoko na białej haftowanej pościeli leży kształtna głowa pięknego młodzieńca. Słońce pada na bladą twarz i złoci kasztanowe włosy, które spadają do połowy czoła. Na purpurowej kołdrze leżą płasko ręce. Zwracam się do kapitana: staram się wyjaśnić, że to chory człowiek, gruźlik, że bańki, do diabła te bańki, próbuję ruchami odtworzyć stawianie baniek, ale kapitan kręci głową:

„Offizier!" I pokazuje, że ma dobrego nosa, nie myli się w tych rzeczach. Oglądam się za Elżunią i widzę:

Podchodzi do łóżka chorego, staje, poczem odwraca się, obejmując mocnym spojrzeniem, każdego jakby z osobna. Po czym lekko odchyla kołdrę. Złote warkocze zwisają jej po ramionach. Zdumione źrenice młodzieńca śledzą każdy jej ruch. W pokoju jest straszna cisza. Elżunia nachyla się, rozpina guziki od nocnej koszuli młodzieńca, pokazuje gęste ślady baniek i mówi:

„Zapomniałam, panie kapitanie, jak się to nazywa po niemiecku, te małe szklane naczynia, które się stawia choremu, żeby zapobiec zapaleniu płuc?"

„Saugzöpchen".

„Ach, Saugzöpchen! bardzo zabawnie. Wyszło mi z głowy. A może tego wcale nie znałam". Mówiąc to szybko zarzuciła kołdrę na twarz coraz bardziej zdumioną. Po czym podeszła do kapitana:

„Widzi pan, zdawało mi się, że tak dobrze znam ten język, a tu nagle „Saugzöpchen" — śliczne słowo. Muszę sobie zapamiętać!"

Poprosiła o papier i ołówek. Była już przy samych drzwiach. Za nią szedł kapitan i jego żołnierze. Pisząc mówiła:

„Ciekawe, muszę przy sposobności zajrzeć do słownika, poznać etymologię tego słowa. Hm, Saugzöpchen". Byli już za drzwiami. Elżunia, kapitan i jego żołnierze. Salutując odjechali na motocyklach. Wyszliśmy do Elżuni. Stała oparta o ścianę tego domu, biada, dygocąca i wyczerpana do ostatnich sił. Wyszła „wiedźma" z córkami. Wyniosły słoninę, jakieś mięsa — kosz pomidorów!

Nie pozostało nam nic innego, jak obrzucić te dary i ich ofiarodawców pogardliwym spojrzeniem i odejść w stronę naszej chałupy.

ZENON KONONOWICZ
Pejzaż portowy — olej

„Popiół i diament"

WIELKOŚĆ tego filmu zamknąć można jednym krótkim słowem: prawda. Nie płaska, ilustracyjna prawda zewnętrznych wydarzeń, ale prawda atmosfery, prawda charakterów, prawda sytuacji psychicznych, prawda konfliktów moralnych. Wyrastająca metaforą tragiczna prawda o pokoleniu okrutnie oszukanym przez Historię.

Film „Popiół i diament" nie jest przeróbką powieści pod tym tytułem. Niejednokrotnie widzieliśmy dzieła i arcydzieła literatury, przeniesione na ekran. Nie ryzykując zbytniego upraszczania sprawy, można powiedzieć, że im większa była powierzchowna wierność adaptacji w stosunku do pierwowzoru literackiego, tym niefortunniejszy okazywał się wynik, otrzymany na taśmie. Dosłowne tłumaczenie poetyki literackiej na poetykę filmową (jak wszelkie dosłowne przekłady) mija się z celem zamierzania, a jest nim: wzbudzić w odbiorcy wzruszenie podobnego rzędu i napięcia. I to właśnie udało się w pełni Andrzejewskiemu i Wajdzie. Twórcy filmu „Popiół i diament" ustrzegli się przed źle pojętym pietyzmem wobec powieści. Zrezygnowawszy z epickiej rozbudowy malowidła wszerz, utracone przez to wartości skompensowali, rozbudowując obraz w głąb, potęgując jego napięcie dramatyczne, nasycając go podtekstem intelektualnym i treścią emocjonalną, aż nieomal poza granice wytrzymałości odbiorcy.

Jako naczelny motyw filmu wybrano sprawę Maćka Chełmickiego, kondensując całą akcję w dwudziestu czterech godzinach. Maciek i Andrzej dokonują pierwszego, omyłkowego zamachu, wracają do miasta, przekonują się, że domniemana ich ofiara żyje, na stanowczy rozkaz „szefa" decydują się ponowić zamach. Ale upływające godziny wieczoru i nocy przynoszą Maćkowi nieoczekiwane doznanie: pierwszą prawdziwą miłość. Chłopak, którego życie od czasów okupacji mierzyło się godzinami walki, poznaje inny smak istnienia, chce wyzwolić się spod koszmaru mordowania, chce po prostu żyć. Ale przyjaciel i współtowarzysz jego dotychczasowych poczynań nie dopuszcza do „dezercji". Maciek zabija — i sam ginie, niepotrzebnie i bezsensownie. A w restauracji hotelowej całonocny bankiet, wydany z powodu zawarcia pokoju — kończy się błazeńskim polonezem miejscowej „elity".

FILM, który niemal całkowicie daje się zamknąć w klasycznej formule trzech jedności (akcji, czasu i miejsca), odznacza się znakomitą, zwartą, konsekwentną konstrukcją dramatyczną, ale nie to jest jego największą zaletą. To, co w tym dziele najważniejsze i najcenniejsze, dotyczy nie kośćca ale miąższu, tkanki, materii, wypełniającej schemat dramatyczny tak gęsto, że wyjątkowe w tym filmie miejsca puste czy raczej — nie tak pełne, odczuwamy bez mała jako wytchnienie od nadmiaru napięcia. Te miejsca mniej pełne — powiedzmy to od razu — wiążą się przede wszystkim z postacią Szczuki (co niewątpliwie zuboża ogólną wymowę filmu). A więc zaraz na początku nienaturalna, upozowana, drętwa scena „wiecu" nad zwłokami omyłkowo pomordowanych robotników. A więc dźwięczące powierzchownym optymizmem rozważania Szczuki i jego towarzysza, że „Polska to nie tylko ta tam kanalia" (cytuję z pamięci). Poza tym także jedyna „literacka", nie przełożona na język filmowy scena, gdy Krystyna czyta wiersz o popiele i diamencie; a zaraz potem trącąca Grand-Guignolem konfrontacja Maćka ze zwłokami w zakrystii zrujnowanego kościoła. Ale obok tych nielicznych miejsc niedonerwionych (i które w filmie mniejszej rangi mogłyby uchodzić za udane), jakże umiejętne wygrywanie szczegółów na rzecz problematyki ogólnej, jak celne podnoszenie konkretnych sytuacji do wymowy wielkiej metafory. Jest używane i nadużywane w naszej publicystyce słowo, któremu przy okazji „Popiołu i diamentu" chciałoby się przywrócić cały jego blask i sens: humanizm. Dzieło Andrzejewskiego i Wajdy jest nade wszystko prawdziwie humanistyczne. Jak bardzo po ludzku, czysto i głęboko pokazano uczucie dwojga młodych, którzy na przekór historii, na przekór swemu przeznaczeniu, na przekór własnej woli — przeżywają objawienie wielkiego uczucia. Jak subtelnie, kilku kreskami naszkicowano stosunek młodego mordercy i jego przyszłej ofiary, stosunek, który z taką łatwością mógłby przejść w przyjaźń, gdyby nie fatalne dzielące ich nieporozumienie dziejowe. Jakże wymowaną i pełna znaczenia jest śmierć Szczuki, który ostatnim odruchem martwiejącego ciała garnie się do swego zabójcy — już tylko człowiek, w chwili ostatecznej szukający pomocy u drugiego człowieka. Pokazano w tym filmie ogólnoludzką prawdę o człowieku, któremu kazano zabijać, ale równocześnie obok tych ogólnych zagadnień znajdujemy w „Popiele i diamencie" sprawy tak bardzo polskie, że nie wiem, czy obcy widz mógłby tę stronę filmu już nie tylko właściwie ocenić, ale w ogóle zrozumieć*). W historii kinematografii polskiej, może więcej — w historii polskiej kultury — pozostanie wstrząsająca scena, gdy dwaj przyjaciele, współmordercy, zaszyci w rogu knajpy, przy wtórze „Czerwonych maków" śpiewanych przed gronem snobów odprawiają żałobny apel swego pokolenia, paląc w szklankach od wódki „znicze" ku czci poległych... Twórcom filmu udało się dać jakąś przejmującą syntezę tego splotu cierpień i nonsensu, bohaterstwa, głupoty politycznej i wielkości, których nie znajdziemy chyba nigdzie poza polską najnowszą historią. I wydaje mi się, że tak jak są obowiązkowe lektury szkolne, podobnie młodzież najstarszych klas szkoły średniej powinnaby obowiązkowo oglądać ten film, by uczyć się z niego prawdy o zawiłej polskiej drodze do wolności.

ROBOTĘ reżyserską Wajdy charakteryzuje wspomniana już umiejętność operowania szczegółem na rzecz spraw najogólniejszych; koncentrowanie uwagi nie na wydarzeniach, ale na stanach psychicznych; wygrywanie międzyakcji. Mistrzostwo jego przejawia się przede wszystkim wówczas, gdy na ekranie właściwie „nic się nie dzieje": gdy zamachowcy oczekują na przyjazd auta, gdy potem nie mogą znaleźć sobie miejsca w barze, gdy Maciek zaczyna zbliżać się do Krystyny, gdy czeka — a właściwie nie czeka — jej przyjścia w swoim pokoju. Równocześnie zaś Wajda zarówno w montażu, jak w komponowaniu poszczególnych sekwencji celuje w efektach, bliskich ekspresjonizmowi: scena w kościele, gdy nad młodymi — jakby symbol ich losu — zwisa głową w dół oberwany krucyfiks, końcowy polonez (scena ta bodajże zyskałaby jeszcze na większej lapidarności), wspomniana już scena śmierci Szczuki, gdy nad zwartymi w tragicznym objęciu mordercą i ofiarą wzbijają się w niebo ognie świątecznego fajerwerku.

Z dojrzałym warsztatem reżysera i operatora idzie w parze wysoki poziom aktorstwa. Nie ma tu właściwie żadnej roli nieudanej, jest kilka bardzo dobrych i jedna rewelacja: jest nią Cybulski w roli Maćka. Słabość naszego filmu wiązała się m. in. z przewagą aktorów teatralnych, w osobie Cybulskiego mamy do czynienia z aktorem par excellence filmowym, i to dużej klasy. Cybulski nie gra Maćka, on jest Maćkiem, a jeśli dalszy rozwój spełni nadzieje, jakie rokuje ta pierwsza, wybitna kreacja — nie ma wątpliwości, że sława młodego artysty wyjdzie poza polskie ekrany.

„Popiół i diament" skłania do jeszcze jednej refleksji. Film ten mógł powstać tylko w warunkach nowej, popaździernikowej polityki kulturalnej. Jeśli ktokolwiek żywi jeszcze jakieś wątpliwości co do tej polityki, niechże porówna sobie „Popiół i diament" z — no, na przykład — „Jasnymi łanami". Dalsze komentarze — zbędne.

Tajoj

*) I wydaje mi się, że mimo wszystkich walorów filmu nie należałoby go pokazywać za granicą — są to porachunki zbyt osobiste i zbyt bolesne...

MARIAN NARCYZ LISTOWSKI

Elegia

Tobie, Władeczku

O szyby deszcz dzwoni...

Ślepe są szyby. Szyby matowe.
Jakże bolesny jest płacz ślepych ócz.
A moje oczy są zdrowe.
Widome...

O szyby deszcz dzwoni...

Są ściany głuche w nocną porę.
Jakże bolesny jest jęk głuchych ścian.
A moje uszy nie chore.
Słyszę...

O szyby deszcz płacze...

Ty płaczesz, on płacze.
Ja płakać nie mogę.
To tylko deszcz płacze...
znów.

WYSTAWA malarstwa *Zenona Kononowicza*

KRYSTYNA MIERNOWSKA

Zenon Kononowicz: Martwa natura — olej

Jubileuszowa wystawa obrazów Zenona Kononowicza na 30-lecie jego pracy twórczej zapowiadała, zdawać by się mogło, retrospektywny przegląd jego dorobku. Jednak Kononowicz lubi niespodzianki. Pokazał swoją twórczość przed wszystkim z ostatnich lat, co zadecydowało o ogólnym swobodnym obliczu wystawy.

Jako malarz Kononowicz hołduje postimpresjonistycznemu koloryzmowi, który reprezentują twórcy o wykrystalizowanym i wyrobionym od dawna warsztacie malarskim. Artysta stworzył w tym kierunku swój indywidualny i bardzo charakterystyczny warsztat, który ciągle ulega pewnym przemianom rozwojowym.

Z obrazów przedwojennych znalazł się na wystawie zaledwie jeden — „W pracowni". O ciemnym kolorycie, dość klasycznej kompozycji, jasno i czytelnie przedstawionym temacie, jest typową pracą dla przedwojennego malarza. Natomiast już okupacyjne „Kwiaty" jak i „Porta Sordida" zapowiadają, jakim torem rozwinie się dalej malarstwo Kononowicza. Równomierne rozedrganie światła i koloru na całej powierzchni obrazu, monochromatyzm przy dużej kulturze malarskiej to cechy charakterystyczne tych obrazów.

W dalszej kolejności chronologicznej należałoby wymienić prace z tzw. „okresu szczecińskiego", tj. lat 1946 — 1950 r. Jest to najbardziej postimpresjonistyczny okres twórczości artysty. Malarz operuje tu wąską skalą kolorów, przeważnie zielenią i różem, stwarzając płaskie rozedrgane wszędzie o jednakowym natężeniu i napięciu barwy i światła płaszczyzny. Klimatem i atmosferą obrazy te zbliżają się do postimpresjonistycznego malarstwa francuskiego. „Autoportret" oraz pejzaże portowe o nr I, III, IV i V należą do najciekawszych i najcelniejszych prac z tego okresu.

Lata pięćdziesiąte to wyjście z monochromatyzmu, szukanie nowych rozwiązań malarskich, budowy obrazu kolorem a czasem i fakturą. Próby te ilustruje „Jabłonka" i dwa bardzo konsekwentne „Wnętrzna pracowni".

Lata 1955—1957 wytyczają takie obrazy, jak „Pejzaż z kościołem św. Anny w Kazimierzu", „Rynek w Kazimierzu" (Nr kat. 61), „Podwójne kwiaty", „Uliczka w Kazimierzu" (Nr kat. 66), „Basztowa w Kazimierzu" (Nr kat. 44), „Martwa natura z kwiatem i koszyczkiem", gdzie Kononowicz coraz śmielej pokazuje nasyconym, często rozedrganym kolorem i ruch, i statykę, i masy zieleni, i jarzące się martwe natury, coraz bardziej podbijając kolor kolorem, coraz bardziej go kondensując i coraz gwałtowniej narzucając farby na płótno. Kolory kładą się koło siebie, przenikają się i mijają czasem z mocnym nawet zgrzytem, czasem podkreślone czarnym konturem (np. pejzaż z Kazimierza, Nr kat. 69). Bogata materia malarska, dynamika barw, bujny temperament malarski czasem aż rozsadzają zamknięte ramy obrazów.

Pokaźną liczbę stanowią na wystawie prace z ostatniego roku a nawet z ostatniego lata. Są to przede wszystkim pejzaże, kwiaty i akty. Jedną grupę stanowią obrazy będące dalszą kontynuacją kolorystycznych rozwiązań doprowadzonych do dalszych konsekwencji, drugą obrazy mające znamiona początku jakiegoś nowego etapu w twórczości Kononowicza. Do pierwszej grupy zaliczyłabym zwłaszcza pejzaże „Widok na port", „Holowniki", „Kutry", „Rynek w Kazimierzu", Kwiaty polne" I i II, gdzie kreski i plamy barwne o silnym natężeniu przenoszą wrażenia wizualne artysty na płótno w całość niesłychanie barwną i migotliwą. Druga grupa to niektóre kwiaty i akty, które, jak już wspomniałam, mogą być początkiem nowego etapu rozwojowego. Kononowicz rozjaśnia paletę, przechodzi z drobnej kreski i plamy barwnej na wyraźne dłuższe pociągnięcia pędzlem i nie odbiegając od rzeczywistości zaczyna operować pewnymi umownymi znakami malarskimi, którymi zaznacza to tylko, co jest potrzebne do nakreślenia danej koncepcji malarskiej. Do tego rodzaju prac zaliczyłabym przede wszystkim „Kwiaty z białym dzbankiem" i „Polne kwiaty". Zbliżonym do tego typu malowania wydaje się być „Akt na kanapie", nieco inny ale ciekawy malarsko jest „Akt ze stolikiem".

Jak ktoś powiedział, artystą nie jest wyłącznie twórca, jest nim także odbiorca, oczywiście odbiorca w pełnym tego słowa znaczeniu. Twórczość Kononowicza nie jest trudna dla interesującej się malarstwem publiczności, tym bardziej że lubelska publiczność miała już okazję ni raz oglądać prace artysty na wystawach okręgowych i nauczyła się patrzeć na te obrazy.

Sale wystawowe CRWA przy ul. Narutowicza zgromadziły 72 prace olejne artysty, a jeszcze około sześćdziesięciu pozostało w magazynie po prostu z braku miejsca do zawieszenia. Sądzę, że należałoby wykorzystać zebrany tak bogato materiał organizując po dwóch tygodniach nowy zestaw z prac dotychczas nieeksponowanych. Przyczyniłoby się to i do ożywienia wystawy i pokazałoby widzom większy zakres prac malarskich Zenona Kononowicza.

Akwarele Tibora Csorby

Akwarela jest zazdrosna tak jak każda prawdziwa kobieta. Trzeba się jej całkowicie poświęcić, gdyż przeciwnie zdradzi swego niezdecydowanego wielbiciela.

Potwierdzenie tego poglądu znajdziemy w wypowiedziach tak świetnego akwarelisty, jakim jest Tibor Csoroa.

„Akwarela, jako rodzaj malarstwa, wymaga odpowiedniego do siebie stosunku".

„Posługiwanie się techniką akwarelową jest dlatego trudne, że wymaga niezwykle pewnej i wprawnej ręki, a co za tym idzie, długich ćwiczeń i pracy. Artysta musi być wirtuozowsko rozmalowany, ażeby położyć każdą plamę bezbłędnie, od razu na właściwe miejsce, gdyż każda poprawka grozi tym, że stanie się ona mętna i brudna".

„Operowanie środkami akwarelowymi wymaga więc dużej wprawy"...

A zatem kto chce być naprawdę dobrym akwarelistą, musi wyłącznie poświęcić się akwareli.

Świetną ilustracją tych twierdzeń była wystawa Tibora Csorby. Lublin zna go dobrze i ma dużo dla niego gorących uczuć. Świadczy o tym liczba osób zwiedzających wystawę, świadczą wypowiedzi prasy i miłośników akwarelowego malarstwa.

Tibor Csorba, będąc Węgrem, jest jednocześnie w swej postawie Polakiem. Dwie ojczyzny stapiają się w nim w jedną całość.

Dlatego tematyka jego utworów, mimo że dwoista, ma w swej wizji malarskiej jeden zespolony ton. Gdy patrzymy na „Chmury nad Balatonem" czy na „Chmury nad Bałtykiem", lub na „Przystań kajaków" albo na „Łodzie w Karwi", uderza nas ten wspólny mianownik artystyczny, będący określoną formą malarskiego wyrazu.

Może tylko Bałtyk ma gorętsze tony, bardziej południowe, bardziej rozświetlone. No, ale to wkład węgierskiego malarskiego temperamentu w chłód północnego morza.

Ileż mogliby zyskać np. nasi młodzi taszyści, gdyby chcieli przestudiować technikę barwy akwarelowej u Csorby. Zwalcza on wyraźnie rysunek na rzecz koloru, w którym jednak kontur, np. charakterystycznego krajobrazu, bynajmniej się nie rozpływa i nie zatraca. O kolorystycznej kompozycji decyduje logika artystyczna związana z rzeczywistym kształtem.

Nowe spojrzenie na przedmiot ma swój odpowiednik w żywej wyobraźni Csorby i jest wynikiem harmonijności jego kojarzeń malarskich.

Technika akwarelowa pozwala na niezwykłą subtelność wypowiedzi — dowodem jest „Gałąź nad jeziorem", — chyba najbardziej fascynujący obraz na wystawie.

W Polsce technika akwarelowa nie jest zbyt popularna i jest traktowana jako pomocnicza. Tibor Csorba wypełnia lukę w tej dziedzinie i sam przez się tworzy ośrodek malarski, który może i powinien stać się zaczątkiem polskiej szkoły akwarelowej.

Wystawę Csorby w Lublinie należy potraktować jako zdarzenie kulturalne dużej miary.

W. G.

Tibor Csorba: W Orłowie 1956, akwarela.

KSIĘGARSKIE nowalijki

Nareszcie mogę zapowiedzieć rychłe ukazanie się w księgarniach ostatniego i najlepszego dzieła R. Vailland'a (nagrody Goncourt'ów z ub. r.) — „La loi" w polskim przekładzie Z. Burakowskiego pt. „LA PASSATELLA" (Czyt., opr. płóc., serii „Nike", c. zł. 16.—, nakł. 10.000). Z nie mniejszą satysfakcją anonsuję tom doskonałych opowiadań W. Somerset Maughama z mórz południowych, napisanych w stylu najlepszych opowieści Conrada. Pierwotny tytuł zbioru „The trembling of a leaf" został przez tłumacza (J. Sujkowską) zastąpiony tytułem jednego z opowiadań „HONOLULU" (Czyt., opr. brosz. + obw., c. zł. 16.—, nakł. 10.000) co nie jest wcale najlepszym rozwiązaniem.

Również „Czytelnikowi" zawdzięczamy spolszczenie (przez J. Cieszkowskiego) dobrej powieści psychologicznej Fr. Carco „OSACZONY" (opr. brosz., obwol., c. zł 10.—, nakł. 10.000). Znawca i kronikarz świata przestępczego Paryża — Carco ukazuje destrukcyjny wpływ popełnionej zbrodni na jej sprawcę od chwili, gdy ten zrozumiał, że tajemnica jego jest znana osobie trzeciej.

Słabszą (może z racji mało elastycznego przekładu J. Bułakowskiej), lecz oryginalną pozycją jest książka Julesa Renarda „RUDZIELEC" (Poil de carotte), wydana także przez „Czytelnika" (opr. brosz. + obw., c. zł 10.—, nakł. 10.000). Osobliwość warsztatu pisarskiego Renarda polega na rysowaniu krótkich scen rodzajowych, szkiców, ujętych często w postać dialogu — lecz w sumie dających doskonałe psychologiczne studium rozwoju dziecka, maltretowanego przez matkę hipokrytkę z racji jego brzydoty.

Z cyklu wydawanych w estetycznej szacie przez „Wiedzę Powszechną" „Myśli złotych i srebrnych" trzeba zapowiedzieć trzecią z kolei książeczkę pt. „HELLADA I ROMA" w opracowaniu J. Krońskiej (opr. płóc., c. zł 15.—, nakł. 10.000). Oryginalnym tekstom greckim i łacińskim lewej strony odpowiada symetryczny przekład polski. Staranna szata graficzna i piękne fotoreprodukcje arcydzieł sztuki starożytnej decydują o wysokiej wartości tej książki jako pozycji bibliofilskiej.

Bardzo ciekawą książką, należącą z racji trudności przekładu w równej mierze do literatury przekładowej, co i autentycznie rodzimej, jest opracowana przez A. Marianowicza i A. Nowickiego „KSIĘGA NONSENSU" (PIW, opr. płóc., c. zł. 26.—, nakł. 5.000), zawierająca wybór najbardziej charakterystycznych żartów poetyckich, limeryków i grotesek czołowych poetów angielskich od E. Lear'a do T. S. Eliota.

Wśród wznowień literatury przekładowej ujrzymy wkrótce G. K. Chestertona „CZŁOWIEKA, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM" (Pax, opr. brosz. + obw., c. zł. 25.—, nakł. 25.000) w przekładzie M. Skibniewskiej oraz „30 NOWEL JACKA LONDONA" (Iskry, opr. brosz., c. zł. 25.—, nakł. 30.000).

Z nowości literatury rodzimej muszę, powodowany patriotyzmem lokalnym, na pierszym miejscu wymienić oczekiwany od dość dawna tom opowiadań lubelskiego autora — Wacława Gralewskiego — pt. „PIĘŚĆ HEROSTRATESA", wydany przez Lubelską Spółdz. Wydawniczą (opr. brosz., c. zł 22.—, nakł. 3.000) w niezbyt udanej, surrealistycznej okładce M. Komendeckiego (nazwisko nie ujawnione w kolofonie).

Wydana przez Wyd. Łódzkie fantastyczna powieść A. Ostoi pt. „ASPAZJA" (opr. brosz. + obw., c. zł. 16.—, nakł. 10.000), wykazująca pewne podobieństwo do „Aelity" Al. Tołstoja, jest pozycją pod względem naukowym raczej niedopracowaną, nie mniej może liczyć na powodzenie, zwłaszcza u młodzieży, ze względu na sensacyjny wątek i zręcznie ukrywane aż do końcowych stron wyjaśnienie tajemnicy królowej Marsa.

Tematykę historyczną reprezentuje w ostatnich nowościach powieść S. Hełsztyńskiego „PLUTON KOSYNIERÓW" (Wyd. Pozn., opr. brosz., c. zł. 22.—, nakł. 6.000), opisująca dzieje oddziałku chłopów spod Gostynia pod wodzą Leona Czaplickiego, członka Związku Plebejuszów, w powstaniu 1846 r. Do tego samego rodzaju należy zbiór pięciu opowiadań z przełomu XI wieku J. Żylińskiej, wydany pt. „ODZYSKANA KORONA" (Iskry, opr. brosz., c. zł. 13.—, nakł. 20.000), a napisany nie tylko dla młodzieży.

Fragmentowi najnowszej naszej historii, pamięci zasłużonych działaczy KPP Hibnera, Kniewskiego i Rutkowskiego poświęciła W. Wasilewska ostatnią swą książkę pt. „ZE PADLIŚCIE W BOJU" (KiW, opr. płóc., c. zł. 17.—, nakł. 10.000).

Do obfitej serii pamiętników z ostatniej wojny doszła doskonała książka B. Romanowskiego „TORPEDA W CELU" (MON, opr. brosz., c. zł. 25.—, nakł. 20.000). Autor był dowódcą kilku po kolei okrętów podwodnych, pływających pod polską banderą w latach 1939—1945 i z polskich marynarzy posiada największy rejestr zniszczonych jednostek wroga.

Innego rodzaju pamiętnikarską pozycją jest książka wspomnień J. Leszczyńskiego pt. „Z PAMIĘTNIKA AKTORA" (Czyt., opr. brosz., c. zł. 22.—, nakł. 10.000), zilustrowana ciekawymi fotografiami.

Dla miłośników folkloru nie tylko muzycznego ewenementem będzie z pewnością wznowienie dzieła A. Chybińskiego pt. „OD TATR DO BAŁTYKU" (PWM, opr. płóc., + futerał, c. zł. 180.—, nakł. 10.000), prześlicznie ozdobionego kolorowymi reprodukcjami okazów sztuki ludowej omawianych regionów.

Na zakończenie subskrybentów „DZIEŁ ZEBRANYCH" St. Wyspiańskiego o wyjściu trzeciego z kolei tomu tej edycji (Lelewel, Legion) Wyd. Literackiego (opr. płóc., c. zł. 31.—, nakł. 10.000) zawiadamia niniejszym

Nowinkarz

NOTY

PRZED MIESIĄCEM w n-rze 18 „Kameny" wyraziliśmy w notach przypuszczenie, że „w tym roku w październikowych Dniach Lublina Prezydium MRN zrealizuje wreszcie wniosek Lubelskiego Oddziału ZLP i ulica im. Juliusza Osterwy, przy której Czechowicz mieszkał, otrzyma nową nazwę od jego nazwiska". Niestety. Minęły Dni Lublina i jak w roku ubiegłym nic się pod tym względem nie zmieniło.

W NAIWNOŚCI DUCHA ZDAWAŁO NAM SIĘ, że kierownicy działów kulturalnych obu dzienników lubelskich zainteresują się wystawą 25-lecia „Kameny", urządzoną w ramach Dni Lublina. Sądziliśmy, optymiści, że zainteresowanie temu dadzą wyraz w odpowiednich recenzjach zachęcających do zwiedzania ekspozycji. Ostatecznie nie zdarza się tak często, by pismo przetrwało wojnę i wstrząsy społeczne i ukazywało się lat tyle pod tym samym co dawniej tytułem. Wystawa obrazowała rozwój pisma, stosunek do niego licznych współpracowników i krytyki, w gablotkach można było zobaczyć różnojęzyczne recenzje, listy od wybitnych polskich pisarzy, wielu już nie żyjących, korespondencję z literatami słowiańskimi, linoryty Zenona Waśniewskiego i inne eksponaty. Niestety, dziennikarze lubelscy w Dniach Lublina nie zauważyli wystawy urządzonej na Dni Lublina.

A MY BYŚMY POTRAKTOWALI TEN PROJEKT POWAŻNIE. Ep w kąciku językowym „Trybuny Literackiej", oburzony na niechlujstwo mowy, panoszące się w naszej prasie, zastanawiając się, jak złu zaradzić, proponuje na pół serio: „Może ustawą, dekretem broniącym poprawności języka przynajmniej w druku? Za błąd w gazecie, ogłoszeniu, na szyldzie płacisz, autorze, mandacik jak za zanieczyszczenie wagonu I klasy!".

TERAZ JUŻ WIEMY. W sobotnim n-rze „Głosu Koszalińskiego" z końca września br. zamieszczono fraszkę W. Deglera: „Niejeden by nie zaczynał, gdyby mógł przewidzieć finał". A nam się dotychczas zdawało, że to napisał Sztaudynger.

Z GEOGRAFII NIEDOSTATECZNY. W n-rze 41 „Przeglądu Kulturalnego" autor „A propos" pisze: „Nowa Gwinea nie uległa szantażowi ekonomicznemu, wybrała niepodległość kosztem przerwania dostaw francuskich, zachowała się tak, jak to postuluje algierski FWN". Ejże, a może to chodzi nie o Nową Gwineę — wyspę, a o tylko o Gwineę, do niedawna kolonię francuską na zachodzie kontynentu afrykańskiego?

LITERATURA DLA MALUCZKICH I ANALFABETÓW. Jeśli „Kurier Lubelski" od dłuższego czasu wzorem amerykańskich comiesów drukuje obrazkowego „Kapitana Blooda" Sabatiniego, można tylko wzruszyć ramionami, a.e nie ma się potrzeby oburzać: awanturnicza powieść angielskiego pisarza nie nas nie obchodzi. Ale gdy warszawskie „Kulisy" robią to samo z klasycznymi „Krzyżakami" Sienkiewicza, to już jest ohydne barbarzyństwo, które powinno być zabronione ustawowo.

TO WŁOSKI, NIE ŁACINA, proszę szanownej korekty. W n-rze 41 „Nowej Kultury" jedna z notatek w rubryce „Rozmaitości" zaopatrzona jest tytułem: „Si non e vero...". To włoskie przysłowie rozpoczyna się włoskim spójnikiem se. Se non è vero, è ben trovato.

-kaj-

odpowiedzi redakcji

P. P.

W. S. w Lublinie. Nie skorzystamy. A w wierszu „Przy sztaludze" wyraz „późno" pisze się przez o kreskowane.

Janusz Kryn. w Częstochowie. Używając formy klasycznej (sonetu), należy przestrzegać zasad rytmiki, pod tym względem w nadesłanych wierszach liczne braki. Poza tym w sonecie nie można rymować: która mi — wiekami (różne akcenty). Nie mówi się „ze zbocz", tylko „ze zboczy". Co to znaczy „rządliwe wędzidła"? Jeśli to ma być „pożądliwe", to pisze się przez ż.

St. Por., w Oławie. O wierszach „My" i „Szklana kulka" pamiętamy, ale muszą jeszcze trochę poczekać. Z nowych materiałów nie skorzystamy. Nie można tłumaczyć („Żegnaj, Baku"): „Turecki błękit trwaj!" W wołaczu powinno być: „turecki błękicie".

Wik. H. w Lublinie. Sam Pan ocenił trafnie przysłany wiersz słowami: „nie są to rzeczy dobre".

St. (B?) Jan. w Lublinie. Nadesłane wiersze nie nadają się jeszcze do druku. Pyta Pan, czy warto „nadal psuć atrament, pióro i papier". Chyba tak.

Tad. Szkl. w Warszawie. Dziękujemy. Brak miejsca nie pozwala nam skorzystać. Podoba nam się neologizm „popojowisko".

Krzysz. M. Dm. w Lublinie. Robi Pan postępy. Kilka świeżych metafor: „Lina wyobraźni", „błękitny akrobata wspomnień", „ryba słońca". Kompozycyjnie niektóre wiersze słabe. „Marii" — banalne. Ważny jest Pana samokrytycyzm. Niech nadal towarzyszy Panu w pracy. Najlepsze utwory: „Modlitwa", „Karawana" i „Cela". „Celą" zadebiutuje Pan później w „Kamenie".

Rysz. Deb. w Warszawie. Dziękujemy. Zamieścilibyśmy coś, ale wie Pan, jak to u nas jest z miejscem: czekają inni. Już nie w tym roku.

Apel do ludzi dobrej woli

Około pół miliona ludności w Polsce — według przybliżonych danych statystycznych — jest dotknięte jąkaniem się. Cyfry te obejmują przede wszystkim dzieci i młodzież. Wziąwszy pod uwagę, że jest to młodzież zawsze prawie pełnowartościowa intelektualnie, doceni się straty, gdy w razie niewyleczenia zostanie ona skazana co najmniej na skrzywienie ogólnej postawy życiowej, o ile szczęśliwie przebrnie przez krytyczny okres dojrzewania bez cięższych urazów nerwowych i psychicznych, wytrącających ją nieraz na stałe z normalnego biegu życia.

Dwanaście ośrodków ambulatoryjnych kuracji jąkania się w większych miastach naszego kraju nie ogarnia nawet młodzieży miejskiej, gdyż leczenie jest przewlekłe, nie mówiąc o tym, że tereny wiejskie pozostawia całkowicie odłogiem, chociaż schorzeń tego typu, skutkiem większego prymitywu kulturalnego wsi, jest tam najwięcej.

Zorganizowanie pierwszego w naszym kraju Sanatorium dla dzieci i młodzieży jąkającej się stało się potrzebą dojrzałą i palącą.

Związał się Komitet Społeczny Zbudowania Sanatorium Wad Wymowy z siedzibą w Toruniu.

RATUJMY LUDZI JĄKAJĄCYCH SIĘ.

Niech obywatelskie sumienie zaświadczy gremialnie, że dba nie tylko o swoje zdrowe i szczęśliwe dzieci.

Złóżmy datki na konto:

NARODOWY BANK POLSKI — ODDZIAŁ TORUŃ — 220-9-924.

Społeczny Komitet Zbudowania Sanatorium Wad Wymowy

Rys. na str. 3 Teresy Targońskiej

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36.40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-5-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 4235. 20.X.58. K-3.